

**Jane Carew**

**Na zawsze twój**

*Przekład Jan B. Kowalski*

# Rozdział 1

– Ach, to ty – rzekła rudowłosa kobieta siedząca przed toaletką do lustrzanego odbicia dziewczyny, która właśnie stanęła w drzwiach. – Wejdz – dodała. – Gdzie byłaś przez cały dzień?

– Znalazłam sobie pracę. – Dziewczyna weszła do pokoju i usiadła na sofie. – Chyba mi się spodoba, Mabillo.

Jej macocha miała trzydzieści sześć lat, lecz nie chciała się do tego za bardzo przyznawać i lubiła kiedy mówiono do niej po imieniu, bo wydawało się to niwelować wszelkie różnice wieku. Mabillo tymczasem skończyła się malować i wzięła grzebień, gładząc nim puszyste włosy dość rzadkiego koloru. Gdyby tylko zechciała zachować je w naturalnym kolorze, myślała dziewczyna, łatwiej byłoby jej się przyzwyczaić do drugiej żony ojca. Mabillo

przechyliła się prawie wkładając twarz w lustro. – O mój Boże! Przez chwilę wydało mi się, że zobaczyłam siwy włos – wyprostowała się nagle: – Pracę, Ellen, moja droga? Co też ci przyszło do głowy! Właśnie dziś rano dostałam list od twojej ciotki Margaret.

– Pisałaś do ciotki Margaret? Przecież wiesz, że mój ojciec nie pozwoliłby ci gdyby... gdyby...

– Dlaczego cię o to boli głowa? Przecież twój ojciec chce, żebym zawsze była szczęśliwa.

Ellen Marshall rzuciła Mabilli zimne spojrzenie: – Będę osobistą sekretarką... – zaczęła, lecz macocha jej przerwała – Chcesz wiedzieć, co pisze ciotka Maggie? – spytała stanowczo.

Ellen, która zaczęła się zbierać do wyjścia, opadła na swoje miejsce: – Więc dobrze, powiedz mi, ale nie sądzę, żeby wpłynęło to na moje plany.

Mabilla zaczęła grzebać w szufladzie między mnóstwem kosmetyków.

– Gdzież ja go mogłam położyć? Naprawdę... O, tu jest. Posłuchaj: „Wiedziałam, że prędzej czy później poprosisz mnie o pomoc. Widzę, że moja ukochana bratanica Ellen nie zdobyła się na napisanie paru słów, ale ty, osoba zupełnie mi obca, nie miałaś zahamowań. Oczekiwałam, że się odezwiesz, od chwili kiedy usłyszałam o odejściu biednego Roberta. No cóż, jeżeli będziesz w stanie mnie znieść, ja postaram się znieść cię. Ale pamiętaj, robię to tylko dla Roberta, nie dla ciebie”.

– Stara wiedźma! – skomentowała Mabilla. – Będzie miała za swoje, kiedy wezmę ją za słowo i zabiorę się za nią, Ellen. Jedźmy do niej obie i pomóżmy jej wydać część pieniędzy.

– I ty masz zamiar przyjąć takie zaproszenie? Po tym, jak poprosiłaś ją o jałmużnę? Wiesz, że mój ojciec byłby wściekły

na samą myśl o tym, że ciotka Margaret jest nam cokolwiek winna. Tym bardziej, że prawdę mówiąc, nie jest.

Mabilla z wściekłością kopnęła obciążone fioletową satyną krzesło.

– Dlaczego nie? Twój ojciec nie był zbyt przewidujący, inaczej nie umarłby zostawiając nas obie bez grosza – zapominając, że to właśnie ona wydała większą część fortuny swego męża, Mabilla ze złością zaczęła przechadzać się po pokoju, co krok energicznym ruchem nogi odrzucając na bok połę aksamitnego szlafroka.

– Nawet gdyby ciotka naprawdę chciała, żebyśmy przeprowadziły się do niej, wolałabym jednak sama zarabiać na swoje utrzymanie – powiedziała Ellen.

Mabilla stanęła jak wryta, spoglądając z podziwem na dziewczynę.

– Jesteś bardzo ładna, budzisz zaufanie. Dlaczego miałabyś je tracić ślęcząc w jakimś biurze, skoro możesz sprawić, że

ciotka będzie ci jeść z ręki. Przecież jesteś jedyną córką jej brata, więc możesz przenieść się do niej i żyć jak człowiek. Tam musi być z tuzin służących, którzy nie mają nic innego do roboty, jak tylko dogłądać jednej starej kobiety.

– Mimo wszystko nie wybieram się tam – zakończyła Ellen. Wzięła torebkę i zaczęła zbierać się do wyjścia.

– A ja tak – warknęła Mabilla.

Zaległo kłopotliwe milczenie. Mabilla, przebierając dłońmi pomiędzy słoiczkami kremów, spojrzała z ukosa na Ellen, która podeszła do drzwi, otworzyła je i odwróciła się.

– Dlaczego nie pójdziesz do pracy?

Pod makijaż Mabilli nagle wśliznął się intensywny rumieniec i przez moment wydawało się, że Mabilla nie może złapać tchu. Ellen nie zwracała na to uwagi.

– Próbujesz mnie obrazić? – z wściekłością zapytała macocha.

– Skądże znowu. Po prostu myślę rozsądnie. W tym, jak widzisz, nie jestem podobna do ojca.

Ellen czekała na to, co powie Mabilla, lecz bez skutku.

– To tylko propozycja. Przepraszam, że cię wystraszyłam, ale wydawało mi się, że samej ci to przyjdzie do głowy.

Dokładnie o dziewiątej trzydzieści następnego ranka, Ellen znalazła się w recepcji Kompanii Wydobywczej, piętnaście piętér powyżej Piątej Alei. Umówiona była z mężczyzną, który miał zadecydować o jej przyszłości. Ubrała się w czarny kostium i jedwabną bluzkę o spokojnym kroju. Przypomniała sobie, że co lepsze sklepy nazywały taki styl powściągliwie eleganckim. Ellen miała czarne, lekko falujące włosy z granatowym połyskiem, które rozczesała na środku głowy w dwa pasma i zebrała z tyłu w zgrabny kok. Jej skóra była koloru brzoskwini, a jej duże, niebie-

skie oczy, lśniące jak drogie kamienie i przykryte długimi rzęsami, budziły niepokój. Kształt pełnych warg podkreśliła ciemnoczerwoną szminką.

Kiedy Ellen zaczęła rozglądać się za jakimś zajęciem, właściciel biura pośrednictwa pracy z podziwem przyglądał się jej, mówiąc: – Ho, ho! Z pewnością się pani nada.

– Na co? – zapytała zaskoczona Ellen.

– Do specjalnego zadania, które mi zlecono. Rozmawiałem dotychczas z przeszło pięćdziesięcioma paniami, ale żadna się nie nadawała. Powiedziano mi dokładnie, kogo potrzebują. Pani jest osobą, której szukałem! To dość nietypowe zajęcie. Będzie pani musiała mieszkać w posiadłości pani pracodawcy na Long Island. Pisze jakąś książkę o kopalniach na Zachodzie, wspomniał mi chyba coś o złocie, o kopalniach których jest właścicielem. Z powodów zdrowotnych zrezygnował ze stano-



wiska szefa kompanii – i jak mogę się domyślać – jest bardzo wymagającym szefem. A do tego bogatym i niezwykłym. Książka ma być o jego życiu i pracy inżyniera geologa, o tym jak wydobywa się złoto w kopalniach. Chce pani spróbować?

– A mogę? – zapytała Ellen, nie dając po sobie poznać, jak bardzo jej na tym zależy.

Sekretarka poprosiła ją, by usiadła na chwilę podczas wypełniania kwestionariusza. Ellen pomyślała wtedy z wdzięcznością o kursie prowadzenia interesów, na który uczęszczała jeszcze w szkole. Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek będzie mogło jej się to przydać.

Właściciel agencji podał jej kartkę: – Pójdzie pani jutro pod ten adres na godzinę dziewiątą trzydzieści i zapyta pani o pana Kurta Hollistera. Umówię was. Pan Hollister jest bratankiem pani przyszłego pracodawcy, oczywiście jeżeli zgodzi się panią

zatrudnić. Pan Kurt Hollister kilka lat temu został dyrektorem kompanii na miejsce swego wuja. Będzie pani zdana wyłącznie na własne siły, ale jak się mu pani spodoba, zawiezie panią na rozmowę ze swoim wujem na Long Island. Nie posyłam nikogo innego, bowiem polecił mi samemu dokonać wyboru. Powodzenia, panno Marshall!

Ellen stała niezbyt pewna siebie przed drzwiami wielkiej sali recepcyjnej, próbując się uspokoić. Następna godzina miała tak wiele zmienić w jej życiu.

– Słucham pani? – zapytała recepcjonistka zza swego biurka.

Ellen odpowiedziała bez wahania: – Jestem umówiona z panem Kurtem Hollisterem na godzinę dziewiątą trzydzieści. Nazywam się Ellen Marshall.

– Ach tak, panna Marshall! Proszę pójść prosto tym korytarzem, trzecie drzwi na prawo. Proszę wejść i poczekać. Pan Holli-

ster zjawi się lada chwila.

Otwierając drzwi pokoju, do którego została wysłana, Ellen wzięła głęboki oddech. Szybko rozglądnęła się wokół i zwróciła uwagę na wykończenie mebli, przypominające nieco matowy połysk brązu wpadający w dyskretną szarość. Po drugiej stronie pokoju, przy oknach wychodzących na Piątą Aleję, stało masywne biurko. Długi stół konferencyjny zajmował prawie całą długość jednej ściany. Ellen wybrała najbliższe krzesło i usiadła. Przez niewielki, łukowy korytarz Ellen zerknęła do drugiego pokoju, którego ściany wyłożone były od podłogi po sufit pięknie oprawionymi książkami.

Zastanawiała się właśnie, czy powinna dalej rozglądać się po pokoju, czy też ułożyć sobie w myślach odpowiedzi na pytania Hollistera, kiedy drzwi po drugiej stronie otwarły się szeroko i do pokoju wkroczył wysoki, szeroki w ramionach młody

mężczyzna.

– Dzień dobry – powiedział energicznie, skłaniając głowę.

– Dzień dobry – Ellen zerwała się natchmiast na równe nogi.

– Proszę usiąść, panno Marshall. Zaraz z panią porozmawiam.

Ellen usiadła. To oczywiście był Kurt Hollister. Patrzyła, jak otwiera kilkanaście listów leżących na biurku, na jego słońcem rozjaśnione włosy kontrastujące z głęboką opalenizną twarzy. Podobała jej się jego twarz, jego kwadratowy podbródek, wyrażający odwagę i zdecydowanie. Nagle Ellen z bijącym sercem zdała sobie sprawę, że znajdujący się naprzeciw niej mężczyzna jest bardziej interesujący i przystojny niż ci, z którymi dotychczas się spotykała. Musiał mieć ze trzydzieści lat, lecz miał w sobie wiele chłopięcego wdzięku. Gapię się na niego! zdała sobie nagle sprawę, zaczerwieniła się i odwróciła głowę. W tym

momencie spojrzął na nią. Miał ciemne, przenikliwe spojrzenie. Uśmiechał się ciepło. Odłożył na bok otwarte listy, wyprostował się, jakby chcąc tym zasygnalizować rozpoczęcie nowej sprawy i zapytał:

– Panno Marshall, czy jest pani cierpliwa?

Ellen zaniemówiła, ale tylko na chwilę:  
– Tak, panie Hollister, ale i moja cierpliwość ma swoje granice!

Hollister roześmiał się z zadowoleniem, obnażając białe zęby.

– Nie mogę się doczekać, kiedy Paul Jean usłyszy tę odpowiedź! O to właśnie pyta wszystkich, których przyjmuje do pracy.

Po chwili, widząc zaskoczenie malujące się na jej twarzy, dodał spiesznie: – Proszę mi wybaczyć, nie wie pani. Paul Jean to mój wuj. Ma pani być jego sekretarką, asystentką w pracy nad książką, którą właśnie pisze. Zabiorę panią do niego dziś wieczno-

rem, żebyście się mogli poznać.

– Tak, słyszałam – odparła Ellen.

– Panno Marshall, czy nie zechciałyby pani napisać dla mnie jednego listu? Moja sekretarka jest chora – zapytał Hollister, jakby właśnie przyszło mu na myśl coś bardzo przyjemnego.

– Oczywiście, bardzo chętnie – odpowiedziała Ellen.

Hollister poderwał się z krzesła i podszedł do niej biorąc ją za rękę.

– Proszę pozwolić ze mną. Weźmiemy notatnik i ołówek z pokoju pani Winters.

Ellen poszła za nim do przyległego pokoju, gdzie znajdowało się biurko sekretarki i krzesła dla interesantów. Ściany pomalowano na kolor ciemnokremowy, a meble były tapicerowane skórą w tym samym kolorze. Co za miłe, spokojne miejsce, pomyślała. Jak mogła w ogóle marzyć o pracy u Hollistera? Ellen wzięła notatnik i kilka ołówków. Uśmiechnęła się do Hollistera.

– Gotowa pani? – zapytał.

Wrócili do jego biura, a on zaczął natychmiast dyktować. Po chwili zapytał: – Czy nie za szybko?

– Ależ skąd. Proszę nie zwracać na mnie uwagi, panie Hollister.

Nie zwracać na nią uwagi, pomyślał. Niemożliwe. Lecz nawet sam przed sobą nie przyznałby się, jak duże wywarła na nim wrażenie. Kiedy patrzył na jej smukłą sylwetkę i przechyloną głowę, dojrzał, że zwraca uwagę na każde jego słowo, co chwilę upewniając się, czy dobrze go rozumiała. Najpierw patrzyła mu w oczy jakby wyobrażając sobie to, co powiedział, a potem wracała do notatek. Miło było wiedzieć kogoś, kogo interesowało to, co mówi, kto go prosi o powtórzenie, co zdarzało się ostatnio dość często pani Winters. Kiedy zaczęła u niego pracować wszystko było w porządku, lecz ostatnio, na przykład wczoraj, w połowie ostatniego listu

przestała pisać, rzuciła ołówek i notatnik na podłogę i wybuchnęła płaczem. Przestraszony, Hollister położył jej rękę na ramieniu, próbując ją uspokoić, lecz ona odrzuciła jego rękę i wybiegła z pokoju. Hollisterowi zależało na niej, była przecież od wielu lat lojalnym pracownikiem firmy, lecz widząc piękną dziewczynę, która siedzi naprzeciw niego pomyślał, że potrzeba mu właśnie kogoś takiego. Pani Winters stawiała się nieco za stara jak na szybkie tempo pracy jego biura. Niedawno zauważył, że zupełnie osiwiiała. Potrzeba jej długiego urlopu.

Z zamyślenia wyrwał go głos Ellen: – Czy to wszystko, panie Hollister?

– Przepraszam panią. Tak, proszę zrobić dwie kopie.

Kiedy chwilę później Ellen położyła przed nim starannie przepisany list, spojrział na nią z uśmiechem wdzięczności. Potem przeczytał list i podpisał go.



– Czy jest jeszcze jakaś inna korespondencja... – zaczęła Ellen, lecz przerwał jej.

– Nie. Na dziś wystarczy. Oddała mi pani wielką przysługę.

– To nic takiego – odparła skromnie Ellen.

– A teraz porozmawiajmy o wizycie u mojego wuja. Czy moglibyśmy się umówić na czwartą, dziś po południu? Powiedzmy w holu hotelu Waldorf?

Ellen wyszła z biura do windy czując dreszcz podniecenia myśląc o tym, co przyniesie przyszłość. Owładnęło ją silne uczucie i zastanawiała się, czy Kurt Hollister też doznał czegoś podobnego. Przez całą drogę do domu siedziała niecierpliwie pochylona do przodu na siedzeniu taksówki.

## Rozdział 2

– Pozwoli pani nakrycie głowy? – zapytał Kurt Hollister.

Ellen stała przy nim obok zgrabnego, niskiego kabrioletu. Otworzył drzwiczki samochodu i rzucił swój kapelusz na tylne siedzenie. Podała mu beret, który natychmiast znalazł się obok kapelusza.

– Niech pani wsiada.

Ellen spodobał się jego rozkazujący ton, bardzo do niego pasował. Usiadł obok niej i ruszyli przed siebie. Wiedziała, że będzie tak prowadził – poruszał kierownicą bez wysiłku, zupełnie jakby go nie obchodziła.

Kiedy znaleźli się na Long Island, ruch uspokoił się trochę. Przed oczyma migwały jej strzepy szarych miasteczek. Potem od czasu do czasu pojawiała się jakaś farma z długimi rzędami sałaty lub kapusty, aż wreszcie dotarli do części wyspy, gdzie

królowały ogrodzone posiadłości ziemskie w sporej odległości od drogi. Ellen miała właśnie zamiar zapytać, do kogo należały niektóre z nich, kiedy nagle wysunęła jej się wsuwka z włosów i wylądowała na kolanach. Pewnie poluzowała się podczas ściągania beretu. Chwyciła ją błyskawicznie i próbowała wsunąć na swoje miejsce, by przypiąć niesforny lok, który przeniósł się nagle na czoło, lecz udało jej się tylko poluzować kolejną wsuwkę. Zakłopotana chciała złapać włosy obiema rękami i zamocować je jakoś z tyłu, jednak bez skutku.

– Niech pani je zostawi – powiedział Kurt. – Lepiej wyciągnąć wszystkie. Podobają mi się włosy puszczone swobodnie. Pani włosy są chyba czarnego koloru, prawda?

Ellen przytaknęła i w przyływie odwagi wyznała:

– Upięłam je tylko idąc na rozmowę z

panem, ale nie jestem zbyt dobra w tej sztuce. Zawsze noszę je puszczone swobodnie.

– Z nami może pani pozostać sobą. Unika się przez to zbędnych komplikacji. – Popatrzył na nią znowu, kiedy zrobiła, jak jej poradził. Włosom Ellen jakby przybyło loków od wilgotnego morskiego powietrza. – Cudownie!

Mijali teraz niewiele samochodów. Od czasu do czasu widziała powierzchnię morza złotawoczerwoną w zachodzącym słońcu. Miała wrażenie, że za miastem niebo było bliżej ziemi. Głupstwa chodzą ci po głowie, skarciła sama siebie. Po prostu tutaj teren jest bardziej płaski, pusty, a poza tym ma się ku wieczorowi. Poczowała delikatny dreszcz strachu przed nieznanym, ale postanowiła się nie poddawać. Ta praca otwiera nowy rozdział w moim życiu, wszystko co było do tej pory, jest nieważne. Powinnam zapomnieć o wszystkim i

skoncentrować się na pracy. Wkrótce pojawiła się kolejna wątpliwość – przecież sama jadę w nieznane, nie wiem co mnie czeka.

W jej myśli wkroczył dodający otuchy głos Kurta Hollistera.

– Kiedy znajdziemy się w pobliżu czegoś, co wygląda jak ściana bez końca, jesteśmy w domu – nazywa się Hollister House. Jak się pani podobała przejażdżka?

– Bardzo – odparła Ellen. Nie wyznała mu jednego – jego głos wystarczał, by pozbyła się wszelkich obaw. Postanowiła z mocą, że cokolwiek miało ją czekać, da sobie radę w tym nowym świecie, w świecie Kurta Hollistera. Przede wszystkim chciała być blisko tego mężczyzny, przynajmniej na tyle, by widzieć, jak krząta się wokół codziennych spraw, choćby teraz, kiedy ruchem silnych ramion skierował samochód na podjazd prowadzący do domu.

Uderzył ją wszechobecny zapach sosen,

które otaczały wysokim, dumnym rzędem alejkę. Na jednej z nich układały się do snu mewy i najwidoczniej przeszkadzał im hałas nadjeżdżającego samochodu, bo gwałtownie zatrzepotały skrzydłami wykrzykując niezrozumiałe obelgi pod ich adresem.

Za ostatnim zakrętem wyłoniła się olbrzymia, masywna budowla z kamienia na fundamencie skały, której trójkąt wcinał się daleko w morze. Jakby średniowieczny zamek rzucał się w morze, pomyślała Ellen, gdy samochód zatrzymał się, a odziany w liberię służący wybiegł im na powitanie.

– Oto jesteśmy, panno Marshall. Proszę dalej.

Kurt wysiadł i skierował się po schodach do drzwi, więc Ellen pośpiesznie podążyła w ślad za nim. Poczowała nieodpartą chęć chwycić go za poję płaszcza, wydawało jej się, że z każdym krokiem oddala się od niej. Źle byłoby zgubić przewodnika

na takim pustkowiu.

Ledwie Kurt przekroczył nogą próg domu, powietrze wypełnił głośny pisk opornych hamulców. Ellen wiedziała, że samochód Kurta odprowadził służący. Odwrócili się więc oboje i oczom ich ukazała się żółta taksówka zmierzająca niezdecydowanie w ich kierunku. Zamachała ku nim dziko jakaś dziewczyna na wpół wychylona z okna. Po bladej twarzy płynęły jej łzy, a ona sama krzyczała ile sił w płucach.

– Poczekaj! Kurt, poczekaj!

Z towarzyszeniem najróżniejszych efektów dźwiękowych taksówka zatrzymała się koło schodów, drzwi otwarły się nagle, zza nich wyleciały walizki i dziewczyna, która natychmiast rzuciła się w ramiona Kurta, który widząc co się dzieje, przezornie zszedł na dół. Bez najmniejszego drgnięcia przyjął rozpędzone ciało dziewczyny. Co za zbieg okoliczności, pomyślała Ellen, zu-

pełnie jak w teatrze.

Dziewczyna wyglądała na bardzo młodą, nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat. Gdy znalazła się w ramionach Kurta, wybuchła płaczem na dobre. Kurt objął ją i delikatnie skierował w stronę wejścia.

– To moja kuzynka Flossie, panno Marshall – poinformował Ellen.

Ellen miała zamiar przywitać się, lecz dziewczyna nawet nie odwróciła głowy w jej kierunku. Kurt opowiedział jej wcześniej co nieco o Flossie.

– Jest moją jedyną siostrą cioteczną. Strasznie ją rozpieściliśmy, ale jest taka miła. Wychowywaliśmy się razem tu, w Hollister House, chociaż ja jestem trochę starszy.

Nikt na nią nie zwracał najmniejszej uwagi, więc weszła sama do środka i przystanąła z boku. Słyszała odgłosy pośpiesznych kroków w różnych miejscach olbrzy-



miego domostwa niosących różne osoby przez hol w różnych kierunkach. Ubrana w biały czepek służąca przemknęła po krętych schodach, prawie w tej samej chwili nadszedł pełnym godności krokiem lokaj. Ellen usłyszała nagle głuchy odgłos kroków i miarowy stukot laski o drewnianą podłogę dobiegający ją z tyłu. Instynktownie odwróciła się i zobaczyła srebrny uchwyt ciężkiej laski wystającej przez drzwi w pewnym uścisku majestatycznie wyglądającej siwowłosej damy.

– Z drogi moja młoda panienko – srebrny uchwyt trafił ją lekko najpierw w jedną, potem w drugą nogę, które Ellen pośpiesznie próbowała usunąć z drogi.

– Z drogi – rozkazujący, głęboki głos wypełnił cały hol. Kobieta przeszła obok Ellen kierując się w stronę Kurta, który wciąż próbował uspokoić Flossie.

– Ratuj mnie, Kurt! Ratuj mnie! Obroń przed tym brutalem, moim mężem – jęcza-

ła Flossie.

Może ta królowa poświęci teraz swoją uwagę komuś innemu, westchnęła z ulgą Ellen przyglądając się ubranej na czarno postaci. Nie trwało to jednak zbyt długo, bowiem w chwilę później kobieta przypomniała sobie, że nigdy wcześniej nie widziała Ellen. Odwróciła się i podeszła z powrotem ku Ellen podnosząc do oczu lorgnon na długim uchwycie.

– Kim jesteś? – zapytała wyniośle. – Odezwij się! Co z ciebie za jedna i co robisz w Hollister House?

Ellen przezornie schowała nogi za niewielki stolik na kwiaty, lecz nie na wiele się to zdało, bowiem kobieta wystukiwała rytm swych pytań na dłoni Ellen. Kurt przyszedł jej na ratunek z przeciwnej strony holu.

– Ciociu Olivette, to jest panna Marshall, nowa sekretarka wuja Paula. Moja ciocia, panno Marshall.

Ciotka Olivette uznała prezentację za zakończoną, czemu dała wyraz długim, przenikliwym spojrzeniem spoza lorgnonu.

– Dobrze, dobrze. Niech będzie Marshall. Dlaczego nikt mi o niczym nie mówi? – Władczym ruchem laski wskazała jednej ze służących: – Hilda, zabierz Marshall do zachodniego skrzydła, do pokoju, który wychodzi na morze.

Potem odwróciła się do Flossie.

– Przestań się tak piekielnie drzeć, Flossie. Głowa mnie boli, jak tego słucham. Doprowadzisz mnie i cały dom do rozstroju nerwowego. Przestań natychmiast!

Odwróciła się znów do Ellen. – Kolację podają o ósmej, Marshall. Punktualnie.

Laska znów powędrowała w okolice krótkiej wełnianej spódnicy Ellen, kiedy ta miała zamiar udać się w ślad za służącą: Odwróciła się do ciotki Olivette i wbiła swe niebieskie, pociemniałe z gniewu oczy w ostre oczy staruszki. Ciotka Olivette

uśmiechnęła się i nieoczekiwanie przemówiła pełnym wesołości głosem. – Trochę ci po wygrażałam, Marshall. Ale nie przejmuj się, to wszystko z sympatii do ciebie.

Szeroki korytarz na pierwszym piętrze oświetlony był kilkoma kryształowymi kandelabrami, które mimo iż nie było jeszcze ciemno, rzucały wokół całą tęczę barw. Ellen dochodziła właśnie na górę, kiedy usłyszała kobiecy głos śpiewający czystym, mocnym sopranem:

*Kiedyś, kiedy byliśmy młodzi, w słoneczny majowy poranek Powiedziateś mi, że mnie kochasz...*

Strauss, pomyślała Ellen. Jak jej ojciec kochał tę muzykę. Siedział i słuchał, jak grałam, a ogień tańczył i trzaskał wesoło na kominku. Odrzuciła to wspomnienie. Służąca czekała przed wejściem do jej pokoju.

– Jaki piękny głos – powiedziała Ellen.

– Pani Olivette. Kiedy ktoś ją wyprowa-

dzi z równowagi, zaczyna grać i śpiewać, mówi, że to ją odsuwa od spraw tego świata. Rzeczywiście ma piękny głos. Kiedyś była zawodową śpiewaczką operową.

– Ach tak! – wykrzyknęła Ellen. – Dlatego kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłam, pomyślałam sobie od razu o długich białych rękawiczkach, kwiatach, podnieconych tłumach. Zachowała wiele z dawnej urody, nic dziwnego, że nosi się tak dumnie.

Pokojówka otworzyła drzwi. Kiedy Ellen weszła do środka, wzięła głęboki oddech – cała ściana wychodząca na morze była zrobiona ze szkła. Jej środkowa część kryła drzwi na balkon. Wyszła na zewnątrz i zaniemówiła oczarowana – czuła się jak na statku pełnomorskim.

Nadchodziła noc i horyzont był nieco zamazany, lecz daleko przed sobą widziała przewalające się ciężkie fale ciemnozielonej wody. Podnosiły się jakby ociężale, by

w chwilę później rzucić się z wściekłością na plażę i skały u podnóża półwyspu.

Pokojówka przerwała milczenie. – Czy mogę panią rozpakować?

– Dziękuję, poradzę sobie sama.

Pokojówka zajęła się więc otwieraniem drzwi, zamykaniem okien i innymi kosmetycznymi zabiegami. Ellen zapytała, by podtrzymać rozmowę:

– Nic jej nie będzie? Tej dziewczynie, na dole... Pannie Flossie.

– Ach, znów panna Flossie z jej wybuchami hysterii – machnęła ręką. – Jest zamężna od ledwo pół roku. Od tego czasu przyjeżdża tu w takim stanie przynajmniej dwa, trzy razy w miesiącu. Nic tylko nocne kluby i przyjęcia – są po prostu rozpieszczeni. Właśnie to im dolega – za dużo pieniędzy, młodzi, niedoświadczeni.

Przypomniawszy sobie ostrzeżenie ciotki Olivette co do pory kolacji, Ellen wybrała się na dół za kwadrans ósma. Ledwo

dotknęła ostatniego stopnia, laska ciotki Olivette rozpoczęła swój taniec, który zapewne miał na celu zwrócenie jej uwagi. Poszła w ślad za odgłosem stukania i znalazła staruszkę stojącą w samym środku miękko oświetlonego pomieszczenia. Spojrzała na nią szczerym, otwartym wzrokiem. Ellen nie spuściła oczu, zaciekawiona tą niezwykłą kobietą. Trudno było zgadnąć w jakim jest wieku – równie dobrze mogła mieć sześćdziesiąt jak siedemdziesiąt lat, zresztą nie miało to większego znaczenia. Ellen zafascynowały drobne stopy odziane w buty z delikatnej skóry, delikatny szlafrok z miękkiego, białego jedwabiu. Miała wąskie, arystokratyczne dłonie, przyozdobione pierścionkami, których oczka były diamentami i szmaragdami.

– Więc będziesz pracować z Paulem Jeanem. No, no. Jesteś bardzo ładna, masz bardzo dobrą prezencję. Paul Jean nie zno-

si niezgrabnych kobiet. – Potem na poły do siebie, na poły ze złośliwym uśmiechem dodała: – Ciekawe, jak twoją obecność przyjmie Beatrice.

Podeszła do jednego z foteli przy kominku.

– Musimy porozmawiać w cztery oczy. Paul Jean może nie zejść na kolację. Bawi się tą swoją łódką. Jeżeli nie wróci do tej pory, przyjdź do mnie do pokoju, jak skończymy jeść.

– Ta młoda dama nie przyjdzie do ciebie, Olivette. Musi się dobrze wyspać, żebyśmy jutro mogli zacząć pracować nad książką.

Energicznym krokiem podszedł do nich imponującej postury mężczyzna w średnim wieku, lekko siwiejący. Skłonił się i pocałował Olivette w policzek. Miał na sobie jasny, płócienny garnitur i jasnoróżową rozpiętą pod szyją koszulę, co kontrastowało z głęboką opalenizną. Najwyraźniej



jeżeli chodziło o sposób ubierania się, był panem sam dla siebie. Wyciągnął dłoń do Ellen w geście pozdrowienia.

– Panna Marshall, prawda? Kurt powiedział mi, że dziś panią przywiezie.

Energicznie potrząsnął jej ręką. Przez kilka minut przyglądał się jej w milczeniu. Najwidoczniej coś spodobało mu się w jej wyglądzie, bo pokój znów wypełnił jego tubalny głos. – Więc pomoże mi pani napisać książkę?

– A mogłabym spróbować?

– Oczywiście. Zaczniemy jutro rano.

Przerwał im wysoki, miły głos.

– Cześć! Jestem tu i czekam na powitalne pocałunki.

Była to Flossie z rozpostartymi ramionami i wydętymi w przesadnym geście ślicznymi ustami. W chwilę potem wylądowała w ramionach wuja Paula.

– Wujku... Najdroższy.

Po nim przyszła kolej na ciotkę Olivette.

Na twarzy dziewczyny nie było ani łez ani podkrążonych oczu.

Ellen zwróciła uwagę Kurta wchodzącego do pokoju, więc ten swe pierwsze kroki skierował właśnie do niej.

– Musimy cię przeprosić za przyjęcie, które cię tu spotkało. Flossie jest bardzo nerwowa, ale już przyszła do siebie.

Bez wątpienia darzył swą kuzynkę wielką sympatią. Patrzył na nią bez cienia wyrzutu, jak zapala papierosa i przysiada na oparciu fotela Paula Jeana obejmując go ramieniem. Wyglądała dość dziecinnie energicznie machając drobnymi, odzianymi w sandały stopami, co wprawiało jej bawełnianą sukienkę w przedziwny wirowy ruch. Zaczesane do tyłu jasnozłote włosy sięgały pasa. Nagle, zauważywszy Kurta, który, rozmawiał z Ellen, zeskoczyła z fotela i podbiegła do nich. Kurt przedstawił je sobie.

Były tego samego wzrostu. Przez chwilę

patrzyły sobie w oczy w milczeniu, bez uśmiechu. Wreszcie Flossie przemówiła słodko:

– Piszesz na maszynie i w ogóle? Pomozesz mi obliczyć moje wydatki? Paul Jean jest dla mnie niedobry. Każe mi się rozliczać z tego, co wydaję.

Za chwilę była znów przy Paulu nie czekając bynajmniej na odpowiedź Ellen. Paul Jean wstał i ruchem ręki zaprosił wszystkich.

– Czy to wszystko, co zostało z mojej rodziny na kolację? – zapytał głośno. – A gdzie jest ten stary wilk morski, Jeffers? Umieram z głodu. Jeffers!

Jeffers, jak się okazało, był lokajem i w tej samej chwili ogłosił, że podano do stołu.

– Na koń panie i panowie! – Paul Jean skierował ich gestem do drzwi, po czym zrównał swój krok z Ellen.

– Niech się pani nie obrazi, ale taki już

jestem, kiedy chodzi o moją rodzinę. Kocham ich i chcę, żeby bez przerwy byli blisko mnie, ale od czasu do czasu ukrywam moje prawdziwe uczucia pod maską niezadowolenia.

Ale to jeszcze nie byli wszyscy. Ledwo skończył mówić, Ellen zauważyła zmianę w wyrazie jego twarzy. Zmarszczył brwi i przybrał groźny wygląd na widok dwóch osób, które właśnie weszły do pokoju. Jej wzrok padł najpierw na bardzo wysokiego i równie przystojnego mężczyznę o ciemnej karnacji w stroju wieczorowym, a potem na ubraną w popielaty kostium kobietę, którą trzymał pod rękę. Miała matowe, brązowawe włosy, oczy i skórę w kolorze kostiumu. Na jej ustach widniał jakby przyklejony, wymuszony uśmiech. Kurt pospieszył ku nim i zagadnął kobietę:

– Beatrice, mówiłaś mi, że nie będziesz mogła zejść.

Próbował wziąć ją za rękę, lecz ta wy-

rwiała mu ją i krzyknęła piskliwym głosem:  
– Ty nigdy nic nie wiesz! Ellen wzdrygnęła się na dźwięk głosu, który przypominał jej tarcie styropianem po szkłe. Od razu poczuła niechęć do tej kobiety.

– Wcześniej wracasz, Clyde – powiedział Kurt do mężczyzny.

– Jakież gorące powitanie, kuzynie. Nie było mnie przecież trzy miesiące. Nie mów, że za mną nie tęskniłeś – tu roześmiał się szeroko.

Kurt nie odpowiedział, więc mężczyzna podszedł do Paula Jeana.

– Może chociaż ty się ucieszysz z mojego widoku. Przyleciałem dziś po południu. Czy jest szansa, że dostanę z powrotem moją dawną pracę? Prawdę mówiąc – chyba nigdy nie uda ci się znaleźć kogoś takiego jak ja do prowadzenia twoich spraw majątkowych, prawda?

Przyglądając się mu Ellen stwierdziła, że musiał być faworytem bogów. Ale dla-

czego wszyscy go traktowali jak zwiastuna nieszczęść? Do tej pory nikt się do niego nie odezwał z wyjątkiem Kurta, a i to trudno było nazwać zbytkiem serdeczności. Paul Jean przerwał krępującą ciszę.

– Kiedy tylko moje oczy padną na ciebie, Clyde, jestem więcej niż pewny, że masz jakieś kłopoty. Wychodzisz z siebie, żeby się w nie wplątać. Ostatni raz kiedy z tobą rozmawiałem, wybierałeś się na jakąś wyspę zakładać plantację pomarańczy. Udało ci się? Czy może jesteś poszukiwany listem gończym?

– Uspokój się, wujku, nikt nie nałożył ceny na moją głowę. Po prostu miałem już dość pomarańczy, znudziły mi się, więc sprzedałem plantację i nawet zarobiłem na tym. Czy mogę zostać u ciebie?

– W porządku, masz u mnie pracę. Prawdę mówiąc, cieszę się, że tu jesteś. Będę miał więcej czasu, żeby zająć się książką. To jest panna Marshall, moja se-

kretarka, która będzie mi w tym pomagać – odwrócił się do Ellen i powiedział: – To jest mój bratanek, Clyde Hollister.

Pozostała więc tylko jedna osoba, z którą miała się zapoznać. Kurt zaczął mówić, lecz po kilku pierwszych słowach dla Ellen świat przestał istnieć, przez kilka chwil nic do niej nie docierało, nie wiedziała, gdzie jest. Z odrętwienia wyrwały ją słowa ciotki Olivette.

– Marshall, czyżbyś nie była głodna?

Ellen zorientowała się, że pozostała daleko z tyłu za innymi i że ciotka Olivette czeka na nią. Lecz słowa Kurta rozbrzmiewały nadal w jej uszach. Kiedy mówił, nie patrzył ani na Ellen, ani na Beatrice. To nieprawda, to nie może być prawda, powtarzała Ellen, zaskoczona, że nikt jej nie usłyszał. Ta zimnooka kobieta, ten popielaty cień zwisający z ramienia Clyde'owi, patrzący na niego... – Beatrice – powiedział Kurt – panna Marshall, nowa sekre-

tarka Paula Jeana. Panno Marshall, to jest moja żona.

Tymczasem wśród zielonych wzgórz Westchester Mabilla ścieliła swe wąskie łóżko przygotowując się do zasłużonego wypoczynku. Właściwie przez cały dzień, od kiedy przyjechała do ciotki Margaret, nie opuszczało ją zaskoczenie, kończyła więc dzień w stanie lekkiego podniecenia. Nic nie wyglądało tak, jak sobie wcześniej wyobrażała, co krok spotykało ją coś dziwnego, z czym nie mogła sobie poradzić. Życie w podmiejskiej posiadłości nie zapowiadało się zbyt różowo.

Teraz zastanawiała się właśnie, aczkolwiek bez przesadnej ciekawości, czy dochodzący spod jej okien przeciągły jęk nie zapowiadał jakiegoś stworzenia, które cierpiało niedolę czy też może jakieś ptaki w gołębniku nie mogły dojść do porozumienia. Trzeba bowiem wiedzieć, że pokój Mabilli był w stajni, podobnie zresztą jak



ciotki Margaret i starej Hetty, od dawien dawna służącej i damy do towarzystwa.

Reszta służby mieszkała w domu, poza tym było jeszcze kilka małych domków porozrzucanych dookoła w gęstych zaroślach. Dom był ogromny, wykończony w stylu z końca dziewiętnastego wieku, przyozdobiony drewnianą altaną i kopułami na dachu. Mabilla przyglądała się mu z zadowoleniem, kiedy pierwszego dnia podjeżdżała na miejsce taksówką. Choć był to najzwyklejszy w świecie pojazd, rozparta wygodnie na siedzeniach miała uczucie, że wraca do świata, do którego należy od zawsze, do bogatego świata, w którym nawet dachy pyszniły się nie służącymi do żadnego celu ozdobami.

Taksówka minęła otwarte drzwi frontowe, przez które było widać korytarz i wejście po drugiej stronie, tonące w kwiatkach. Miała zamiar krzyknąć do kierowcy, ale w tym samym momencie przeleciała jej tuż

przed nosem piłka do baseballa, wleciawszy jednym oknem a wyleciawszy drugim. W ślad za piłką dobiegł ją okropny wrzask, zaś Mabilla ujrzała okrągłą piegowatą twarz chłopca zdającą się wisieć między gałęziami ostrokrzewu, jak zabawka na choince. Kierowca, nieświadom całego zdarzenia ani osobliwej twarzy okolonej wieńcem zieleni, dodał gazu, aż samochodem zarzuciło na zakręcie.

Za chwilę incydent z piłką wydał się nic nie znaczącym wydarzeniem, bo spoza żywopłotu wyłoniła się łąka, na której aż roilo się od dzieci. Drużyna małych chłopców z zapalem trenowała baseballa na specjalnie do tego celu wydzielonym boisku. Na samym środku murawy kłębił się tłum dzieci goniąc się, biegając, huśtając i bawiąc nad samym brzegiem niewielkiego basenu.

Ta scena wprowadziła Mabilę w prawdziwe oszołomienie. Nie protestowała więc,

gdy kierowca zajechał pod budynek, który nawet z daleka można było rozpoznać jako stajnię i powiedział: – Jesteśmy na miejscu, proszę pani. Nerwowo odszukała pieniądze w torebce, zapłaciła, a po jego odjeździe zapukała kołatką do drzwi stajni.

Otworzyła jej postawna, starsza kobieta, z której wyrazu twarzy można było się domyślić, że czuje się za wszystko odpowiedzialna. Ubrana była w spodnie, kurtkę i słomiany kapelusz z szerokim rondem. Mabilla zaczęła niepewnie:

– Czy zastałam ciotkę M... , to znaczy czy pani Sloane... – nie dane jej było skończyć.

– Proszę wejść – odparła żwawo kobieta.. – Ty jesteś Mabilla, druga żona Boba. Przysłał mi kiedyś twoje zdjęcie. Gdzie Ellen?

– Ellen nie przyjedzie – poinformowała obrażonym tonem Mabilla – ma pracę w jakimś biurze.

– To dobrze – westchnęła kobieta, dopiero teraz zidentyfikowana przez Mabilłę jako ciotka Margaret. Poprosiła ją do kuchni. – Bardzo się z tego cieszę – kontynuowała ciotka. – W Ellen z pewnością płynie krew Marshallów. Nikt z nas nigdy nie prosił nikogo o łaskę.

Mabilla, niepewna czy ten komentarz dotyczył jej bezpośrednio, zdecydowała, że powie coś gładkiego i nie podlegającego dyskusji.

– Świat składa się z różnych ludzi – wymamrotała, starając się, by zabrzmiało to pogodnie.

– Niestety! – zauważyła ciotka Margaret. – Pewnie jesteś głodna. Zrób sobie kanapkę z serem albo usmaż jajko. Wszystko jest w lodówce. Ja muszę się zająć dziećmi.

– Dziękuję – powiedziała Mabilla.

– Widziałaś dzieci, prawda? Codziennie inne przyjeżdżają tu z miasta – z bloków, z

sierocińców, zewsząd. Dałam im do dyspozycji dom i cały ogród.

– Codziennie? – nie dowierzała Mabilla.

– Z wyjątkiem niedziel. Zjedz coś i chodź mi pomóc. Roboty wystarczy przynajmniej dla dziesięciu kobiet.

Od chwili kiedy wyszła do ogrodu szukać ciotki Margaret aż do wieczora, gdy wyczerpana mogła tylko rzucić się na łóżko, Mabilla nie miała czasu zastanowić się nad własnym położeniem. A teraz, kiedy miała czas, nie potrafiła powstrzymać nadchodzącej senności. Po raz pierwszy zdecydowała, że podaruje sobie cały wieczorny rytuał demakijażu, bez którego nigdy dotąd nie kładła się spać. Nawet nie posmarowała kremem twarzy, a co do kłopotów, to miała zamiar zastanowić się nad nimi następnego dnia, oczywiście jeżeli nie braknie jej czasu. Z tą myślą zasnęła.

## Rozdział 3

Gdy Ellen zeszła na śniadanie o wpół do dziewiątej, Paul Jean już dopijał kawę. Pełne teczki z materiałami otaczały go ze wszystkich stron.

– Łatwiej byłoby odbudować zbombardowane miasto sądząc po rozmiarach tych notatek, prawda? – zapytał.

– Ależ skąd, panie Hollister.

– Ten bałagan to moje materiały źródłowe – notatki dziadka, który zaczął pracować w kopalniach, kiedy był jeszcze całkiem młodym chłopakiem. Dobra robota.

Po śniadaniu zaproponował, by skorzystali z ładnej pogody. Poprowadził ją przez dwupoziomowy taras, w dół po drewnianych schodach wspartych wprost na skale do egzotycznego ogrodu poniżej trawnika, który rozciągał się od samego domu. Szli pomiędzy kwitnącymi żywopłotami i

drzewkami tonącymi w różowych kwiatkach, których Ellen nie mogła rozpoznać. Zapytała o nie gospodarza.

– Te drzewa? Clyde kiedyś mi mówił, że to angielski głóg. Zajmuje się tu planowaniem ogrodów, a ma do tego smykałkę, trzeba mu przyznać. Jak się do czegoś przyłoży, jest nie do pokonania.

– Wyglądają jak latające torty – odważyła się Ellen. Jednak nie o nim chciała więcej usłyszeć. Dokąd tylko można było starała się opóźnić wyjście w nadziei, że pojawi się Kurt. Nie potrafiła zapomnieć jego wyglądu, kiedy przedstawiał swą żonę, Beatrice. Jej także nie mogła zapomnieć. Przez całą kolację żona Kurta grzebała sztuczkami w talerzu i prawie nic nie jadła. Jej wyzywające spojrzenie zdawało się przyciągać wzrok Ellen wbrew jej woli. Było oczywiste, że Beatrice nie spodobał się przybysz, nie odzywała się w ogóle do nikogo, tylko raz powiedziała coś do Kur-

ta.

– Nie chciałeś, żebym dziś schodziła na kolację, prawda?

– Co też ci przyszło do głowy? – spytał zimno Kurt.

Lecz Beatrice nie odpowiedziała. Zasuwała na oczy swe ciężkie powieki, jakby chciała odciąć się od tego wszystkiego, co ją otaczało.

Hollister dyktował prawie bez przerwy do jedenastej, kiedy przerwał, by nabić fajkę.

– A co pani powie na papierosa, panno Marshall?

Ellen nie odmówiła, więc podał jej jednego i zapalił, potem zajął się swoją fajką.

– Niech pani wstanie i rozprostuje trochę nogi, panno Marshall. Nie możemy się tak przepracowywać. Przejdźmy się do stawu. Ellen była mu wdzięczna za tę propozycję. Przeszli przez zalesiony fragment ogrodu, bardzo ładnie rozplanowany,



oczywiście przez Clyde'a. Poniżej znajdował się staw, jak powiedział Hollister. W rzeczywistości było to jednak duże sztuczne jezioro w kształcie okręgu, którego kontury wyznaczały płaskie kamienie.

– Jaka niebieska woda! – wykrzyknęła Ellen – prawie turkusowa.

– Dno jest pomalowane na niebiesko – wyjaśnił Hollister – bardzo ciekawie wygląda w otoczeniu drzew.

Gdy wracali, Ellen nie mogła powstrzymać ciekawości i zapytała:

– Czy pan Kurt Hollister pojechał dziś rano do miasta?

– Tak, oczywiście. Zawsze wybiera się przed ósmą, żeby nie utknąć w korkach. – Potem dodał, jakby poruszony jakąś myślą: – Rzeczywiście, jak mogłem o tym zapomnieć! Może chciała pani, żeby coś przywiózł z miasta?

– Nie, nic takiego. – Ellen nagle poczuła, że nie wie, co ma powiedzieć, nie wie,

jak wyjaśnić, dlaczego pyta o Kurta: – Chciałam mu podziękować, że mnie tu przywiózł, naprawdę wspaniale prowadzi. Nie zdążyłam mu o tym powiedzieć wczoraj wieczorem – wydusiła z siebie. Nie powinna była w ogóle o to pytać.

– Niech się tym pani nie przejmuje – powiedział opiekuńczo. – Kurtowi było miło, że mógł panią odwiedzić.

Powoli wróciła do siebie widząc znajome krzesła i stół z jej notatkami, które przerzucała właśnie Beatrice. Miała na sobie czarną sukienkę, co jeszcze bardziej podkreślało bladość jej skóry. W jej całej postaci było jednak coś, co sprawiało wrażenie promieniującej z jej wnętrza siły. Na jej wąskich ustach błąkał się znajomy uśmiech. Beatrice nie odezwała się, kiedy podniosła głowę i zauważyła ich przyjście.

– Czy mnie oczy nie mylą, Beatrice? Ty w ogrodzie? – Prawie że krzyknął Paul Jean. – Zawsze mówiłaś, że jest tu wilgoć i

że boli cię tu głowa, czy coś takiego. – Po tym wybuchu czułości Paul Jean przysunął jej swoje krzesło.

– Usiądź Beatrice, proszę cię. Ale nie na długo, bo mamy przed sobą jeszcze wiele do zrobienia. Muszę tu postawić znak: Uwaga! Pracują nad książką!

– Nie zamierzam w ogóle siadać.

Rzuciła notatnik na stół z taką siłą, że otworzył się i uderzył rząd starannie naostrzonych ołówków, które Ellen położyła niedaleko. Zaczęły się staczać z blatu i mimo desperackiej próby Paula Jeana złapania ich, powpadały w trawę. Bez słowa przeprosin Beatrice powiedziała ostro:

– Chodzi o pani posiłki, panno Marshall. Bez wątpienia nie czuła się pani najlepiej w towarzystwie osób zupełnie pani obcych, więc zarządziłam, że odtąd będzie pani jadać z panią Hobbs, naszą służącą. Kurt powinien był panią o tym wczoraj powiadomić. – To powiedziawszy odwróciła

się do nich obojga plecami i ruszyła przed siebie.

Paul Jean zaniemówił na chwilę ze zdenerwowania, a Ellen dostrzegła na jego twarzy ten sam wyraz, co zeszłego wieczoru u Kurta – jakby próbę pohamowania się. Opanowanym lecz stanowczym głosem powiedział do niej:

– Beatrice, wróć tu na chwilę.

Zawróciła. Wszyscy, którzy pracowali w kopalniach złota wiedzieli, że kiedy mówił w taki sposób, nie należało go drażnić.

– Teraz posłuchaj mnie uważnie. Nikt w tym domu, z wyjątkiem mnie nie ma prawa mówić pannie Marshall, co ma robić. Po kilku godzinach pracy z nią już wiem, że nie mógłbym sobie bez niej poradzić. Chcę, żeby jadała razem z nami, kiedy jadę do Nowego Jorku, chcę, żeby mi towarzyszyła, nawet kiedy później będę musiał odwiedzić kopalnie i przywieźć pewne materiały, pojedzie ze mną. Chcę, żeby się

przyzwyczaiła do mojego towarzystwa, do moich nastrojów, do sposobu wysławiania się. Wiem, że nikt nie jest w stanie jej zastąpić.

Beatrice stała w milczeniu . naprzeciw nich patrząc gdzieś w przestrzeń. Paul Jean odezwał się znowu, tym razem ostrzej:

– Zrozumiałaś?

– Jeszcze nie ogłuchłam – odpowiedziała i poszła.

– Jest nie do wytrzymania. Coś jest nie tak z jej nerwami, panno Marshall. Od kilku lat tak się zachowuje.

Są z Kurtem osiem lat po ślubie, znali się jako dzieci. Jej rodzice mają posiadłość tuż obok naszej.

– Czy coś jej dolega? – zapytała Ellen.

– Do diabła, nic! Przepraszam, panno Marshall, w przyszłości będę musiał bardziej uważać na to, co mówię. To nerwy. Zaskoczyło mnie, że przyszła aż tutaj. Czasami zamyka się w swoich pokojach na

całe tygodnie, a nawet miesiące. Nie sama, jak się domyślałam.

– Musi być bardzo nieszczęśliwa – zauważyła Ellen, potem dodała cicho: – Pan Hollister też.

– I ja – Paul Jean poderwał się na te słowa i zrobił parę kroków po ogrodzie. – Traktuję Kurta jak własnego syna. Gdzie skończyliśmy?

Ellen przeczytała ostatnie zdanie, zaś on zaczął dyktować, lecz głos brzmiał chropawo.

– Nie mam nic przeciwko temu, panie Hollister – przerwała – mogę jeść ze służbą. Przykro mi, że stałam się powodem nieporozumienia.

– Nonsens! I pani też zamierza mi mówić, co mam robić? A propos, bardzo podoba mi się pani imię, Ellen. Zaoszczędziłbym dużo czasu, gdybym mógł się tak do pani zwracać. Czy mogę?

– Oczywiście.

– No to zabierajmy się do roboty, Ellen – zarządził, podniesiony na duchu. – Zaczynamy. Dziadek ma zamiar postawić chatę. Proszę notować: Potrzebne było schronienie. Mój wspólnik tak się spieszył, żeby zdobyć fortunę, że nie miał zamiaru mi pomóc. Wziął kilof na ramię, nóż za pas i poszedł. Ja zaś znalazłem cztery potężne dragi i ...

W tej samej chwili usłyszeli głos ciotki Olivette, a właściwie nie tylko usłyszeli, byli nim do głębi przeniknięci. Zobaczyli, jak idzie po drewnianych schodach i zbliża się ku nim ścieżką. Znów była ubrana na biało z laską w jednej ręce, drugą zaś wyznaczała sobie rytm wywijając kapeluszem trzymanym za wstążki: – *Kiedyś nadejdzie taki czas...* – śpiewała.

Ellen nie znała wszystkich słów, lecz znów rozpoznała Straussa.

– *Patrzę na ciebie, tak bardzo cię pragnąc, wiem, że i ty pragniesz mnie.*

Nie skończyła frazy, więc ustawiła się prosto przed nimi i pomagając sobie kapeluszem dośpiewała reszty. Paul Jean nie okazywał zbytniego entuzjazmu dla popisów wokalnych swojej siostry, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Ellen domyślała się jednak, jak bardzo był z niej dumny.

– Co ty wyprawiasz! – krzyknął. – Nie widzisz, że pracujemy? Koniecznie musisz dawać koncert w środku pierwszego rozdziału? A tak mi dobrze szło.

– Nie pozwolę ci zagłodzić na śmierć twojej pięknej sekretarki, bez względu na to, co robisz. Idźcie oboje do domu i odświeżcie się, potem wracajcie. Czas na lunch, a ja zamierzam go tu zjeść wraz z wami, tu na świeżym powietrzu.

Kiedy Ellen wróciła, pod drzewami ustawiono stół i dołączył do nich Clyde. Miał na sobie białe spodnie dżokejskie, białą koszulę, a jego buty lśniły jak zwier-



ciadło. Jaskrawą chustkę w kolorach czerwonym, żółtym i fioletowym miał zawiązaną pod szyją. Od razu podszedł do Ellen, wziął ją za rękę, jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie i posadził ją przy stole obok ciotki Olivette. Przez cały czas nie przestawał mówić do Paula Jeana.

– Kiedy pojedziesz ze mną obejrzeć majątek, wujku? Konie i krowy mają się zupełnie nieźle, ale chciałbym trochę przebudować stajnie, żeby zmniejszyć ryzyko pożaru. Mówiłem ci o tym wcześniej.

– Masz już przecież gotowe wszystkie plany, prawda, Clyde? Dasz sobie radę beze mnie. Ja muszę się poważnie zająć książką.

– Jutro niedziela. Nie będziesz przecież przez cały dzień zajęty. Powiedzmy, że po południu. I weź z sobą pannę Marshall. Czy chciałaby pani przejechać się po okolicy, panno Marshall?

Zaległo milczenie, gdyż Ellen pytają-

cym wzrokiem spojrziała na Paula, ale ciotka Olivette zdecydowała: – Oczywiście, że chce. Czy chcesz, żeby sobie pomyślała, żeśmy jacyś poganie i nie potrafimy uczcić świętego dnia?

Paul Jean próbował się przeciwstawić, lecz ciotka Olivette rozkazująco pomachała w jego stronę serwetką. – A ja pojedę z wami aż do samych stajni. Nie wiem, kiedy . ostatni raz widziałam konie.

– Ale dopiero zacząłem pracować nad książką. Wiesz, że początek jest najważniejszy. – Paul Jean żywo gestykulował.

– Nie pozwól Paulowi zrobić z siebie robota – ostrzegła dobrodusznie Ellen – bo będziesz musiała chodzić po domu po omacku, gdyż ze zmęczenia nic nie będziesz widziała.

Roześmieli się z tragicznej nuty, którą przekornie zabarwiła swój głos, a Paul Jean poddał się.

– Pojedziemy na przejażdżkę w niedzie-

lę po południu – powiedział z przesadną radością. – Będziemy jeździć i jeździć, potem zmienimy konie i dalej, urządzimy sobie sztafetę.

Wszyscy roześmieli się z własnych wyobrażeń szalonej wycieczki, a on przyłączył się do ogólnej wesołości.

Clyde pochylił się nad Ellen. – Paul Jean ma tu parę bardzo dobrych koni. Poczekaaj tylko. Znajdziemy ci coś odpowiedniego pod wierzch.

Wstał nagle od stołu, przeprosił pozostałych i poszedł zająć się własnymi sprawami. Za chwilę podniosła – się ciotka Olivette, wyjaśniając, że chce uciąć sobie drzemkę. Paul Jean znowu dyktował. Słowa przychodziły mu z łatwością, Ellen czuła, że żywił głęboki podziw jeżeli nie miłość do swoich przodków. Chciał opowiedzieć o tym, co zrobili jego ojciec i dziadek, którzy w jego słowach wyrastali na szlachetnych, wspaniałych ludzi. W

miarę jak rozwijał się wątek, Ellen zaczęła się z nim zgadzać.

– Skończmy na dzisiaj, Ellen – nagle zaproponował. – Nie jestem przyzwyczajony siedzieć nad tym przez cały dzień. Pozbieraj proszę wszystkie notatki, zanieś do biblioteki i włóż do szuflady biurka. Zamknij ją na klucz i schowaj go. Ja pójdę na chwilę do swojej łódki.

Ellen została sama. Stosy kartek leżały wszędzie: na stole koło niej, na trawie, nawet na wielkim stole, który Paul Jean kazał przynieść z domu. Od ciągłego pisania miała zeszywniały nadgarstek i zmęczone oczy. Zamknęła je. Straciła poczucie czasu. Niezliczone kwiaty prześcigały się w wydawaniu egzotycznych, uwodzicielskich zapachów, a ptaki śpiewały jak oszalałe...

– Przeszkadzam?

Znajomy głos wyrwał ją ze stanu półświadomości. Rozpoznała go natychmiast – to był Kurt. Przyszedł tu, mówił do niej.

Powoli otworzyła oczy.

– Najczarniejsze włosy, najbardziej niebieskie oczy. Nawet niebo nie ma w sobie więcej błękitu – stał w pewnej od niej odległości, podziwiając jak obraz. – Wybaczy pani, że się tak o niej wyrażam, ale to bardzo niezwykle połączenie. W świetle słonecznym uderza to jeszcze bardziej. Położył się na trawie.

– Jak tu cudownie – odetchnął głęboko.  
– Coś musi być w tych petuniach, prawda? Kiedy słońce zbliża się ku zachodowi, zapach staje się bardziej intensywny. Wiedziała pani o tym?

– Nie – przyznała Ellen.

– Mnie powiedziała to ciotka Olivette. Wie wszystko o kwiatach, żyje dla nich. A gdzie podział się nasz pisarz? – Odwrócił się i oparł głowę na złożonych dłoniach, by móc ją lepiej widzieć.

– Pracowaliśmy prawie przez cały dzień  
– Ellen dokładała wszelkich starań, by jej

głos nie zdradził ani śladu wzruszenia. Nie wiadomo dlaczego, widziała go teraz jako małego chłopca bawiącego się w ogrodzie, przebierającego w biegu opalonymi nogami, z jasną jak słońce czupryną, spoconą i rozczochraną. Wyglądał teraz jak chłopiec, z poważną miną lecz psotnymi oczyma. Nagle wstała i zaczęła zbierać notatki. Nie mogła poradzić sobie z natrętnymi myślami.

– Pomogę pani – zaofiarował się Kurt. – Nie ma się gdzie spieszyć. Mamy przecież czas do kolacji.

Ellen zmusiła swoje dłonie do posłuszeństwa i razem układali kartki w równe stosy, po czym Kurt wkładał je do teczek.

– Wcześniej pan dziś wrócił do domu – zagadnęła.

– Biuro jest nieczynne w soboty, ale miałem jeszcze coś do zrobienia, poza tym chciałem się spotkać z zarządcą kopalń.

Wracali tą samą drogą, którą wyszła

rano do ogrodu z Paulem Jeanem. Kurt niósł teczki z notatkami.

– Schowam je do biurka w gabinecie Paula. Niech pani sobie odpocznie przed kolacją. Ja idę popływać.

Nie poprosił jej, by z nim poszła. Żałowała, bo nie czuła się ani trochę zmęczona. Ale zobaczą się przecież przy kolacji.

Ellen wzięła prysznic, po czym położyła się i zamknęła oczy. Ułamek sekundy później była już na nogach, bowiem zauważyła, że przywieziono z miasta jej rzeczy. Po długich rozważaniach zdecydowała się na białą bluzkę z delikatnym srebrzystym haftem i gabardynową spódnicę od kostiumu.

Wróciła na łóżko i zmusiła się do chwili odpoczynku. Skóra lekko ją piekła po całodziennym wystawieniu na działanie słońca, ale gdy się ubrała, spostrzegła, że jej kolor ładnie odcina się od bieli bluzki.

Clyde czekał już na dole w białej marynarce i ciemnych spodniach paląc papiero-

sa. Wyglądał bardzo wytwornie, co dodawało mu jeszcze pewności siebie. Patrzył na Ellen i uśmiechał się przyjaźnie, a ona miała wrażenie, że był to uśmiech przeznaczony specjalnie dla niej. Zaczerwieniła się. Clyde podszedł do radia i włączył je. Nadawali właśnie ognistą rumbę. Wyciągnięciem ramion zaprosił ją do tańca. Wiedziała, że będzie najlepszym tancerzem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

– Mój aniele – powiedział miękko.

Ellen czuła, że powinna w jakiś sposób ostudzić jego zapędy, lecz okazało się, że nie musi nic mówić, gdyż właśnie nadeszli ciotka Olivette, Paul Jean i Jeffers, i po wysłuchaniu wiadomości, że Flossie poszła na kolację do przyjaciół, nie tracąc czasu weszli do jadalni.

Brakowało Beatrice i Kurta. Przed pierwszym daniem służąca sprzątnęła dwa nakrycia wraz ze sztućcami. Nikt tego w żaden sposób nie skomentował. Tak po



prostu, nie ma ich.

Clyde zabawiał wszystkich opisami zwyczajów panujących na wyspie, gdzie kiedyś miał plantację pomarańczy, i choć niektóre z nich były na granicy przyzwoitości, wszystko razem stanowiło doskonałą rozrywkę.

Po kolacji przeszli do bawialni, gdzie Clyde z ciotką Olivette dali prawdziwy koncert arii operowych w językach francuskim, włoskim i hiszpańskim. Clyde był bardzo utalentowany i nie dawał się o nic prosić.

Kiedy Ellen zorientowała się, że Kurt nie przyjdzie, przeprosiła wszystkich. O jedno, co naprawdę ją interesowało – gdzie jest Kurt – nie wypadało jej zapytać. Nie wiedziała także, gdzie jest Beatrice, ale sądziła, że nie ma to większego znaczenia. Myliła się jednak.

Tego wieczora Kurt jadł kolację w apartamencie swojej żony i na jej prośbę. Ellen

miała się później dowiedzieć, że wszyscy mieli osobne mieszkania w obrębie pałacu. Beatrice zajmowała dwa pokoje, gdzie spędzała większość czasu. Nie można było tak po prostu dostać się do niej, trzeba było poczekać na zaproszenie. Dotyczyło to także jej męża.

Kurt był zaskoczony, kiedy otrzymał wiadomość, że żona chce z nim zjeść kolację. Zdarzyło się to po raz pierwszy od kilku tygodni. Nie miał na to specjalnej ochoty, ale nie przyszło mu do głowy jej odmówić.

Powoli szedł po schodach do apartamentu żony i zadzwonił. Beatrice otworzyła drzwi. Przez chwilę Kurt był zaskoczony. Jego żona miała na sobie żółtą sukienkę, która ożywiała nieco jej cerę, jej włosy, po raz pierwszy od wielu lat miały połysk, zaś na ustach widać było ślady szminki.

Uśmiechnęła się lekko i powiedziała: – Wejdz.

Zrobił krok do przodu i zapytał, patrząc na nią z sympatią: – Oczekujesz gości?

Złożyła z przodu ręce i skłoniła głowę tak, że widział tylko jej odwróconą twarz.

– Dlaczego pytasz?

– Dziwi mnie twój strój.

– Inne kobiety ubierają się dla mojego męża, a ja nie mogę?

Jej głos znów odzyskał dawną jadowitość. Zaskoczony Kurt podjął próbę znalezienia się w sytuacji.

– Ślicznie wyglądasz – zaczął, lecz okazało się, że mówi do jej pleców odzianych w nową sukienkę.

•Beatrice usiadła przy stole w milczeniu, więc mógł jedynie pójść w jej ślady. Zadzwoiła i pokojówka przyniosła owoce. Wyraz twarzy żony był tak nieprzyjemny, że Kurt starał się patrzeć w inną stronę.

– Wydaje ci się, że to strata czasu patrzeć na własną żonę, nieprawdaż? Zawsze to milej spojrzeć na kogoś nowego – za-

częła sucho.

Kurt zaniemówił. Przez kilka ostatnich lat, kiedy powoli tracił nadzieję na to, że kiedykolwiek dojdzie z nią do porozumienia, Beatrice nigdy nie posunęła się aż tak daleko. Położył dłonie na wspaniałym, haftowanym obrusie w geście absolutnej bezradności. Beatrice zadzwoniła na pokojówkę. Coś było nie tak z ułożeniem sztućców. Kurt zorientował się, że chodzi o widelec do sałatki, czy coś podobnego, lecz jego żona zrobiła pokojówce straszną awanturę.

Od tego momentu kolacja przebiegała dokładnie tak samo jak wszystkie do tej pory w ciągu ostatnich lat: mięso było przypalone lub niedosmażone, co stawało się powodem dzikich wymówek. Wystarczyło by dyskretnie napomnieć, lecz Beatrice potrafiła doprowadzić się do stanu niepoczytalności, który trwał aż do końca kolacji. Nie zdawała sobie sprawy albo nie interesował ją zupełnie wpływ tych awan-

tur na jej męża. Pokojówka przyzwyczajona była do wymówek i nie zwracała na nie zbytnej uwagi, ale tego wieczora z jakiejś przyczyny też była zdenerwowana i przy nalewaniu kawy zadrżała jej dłoń. Parę kropeł spadło na śnieżnobiały obrus i na sukienkę Beatrice, która poderwała się z miejsca i wrzasnęła:

– Wynoście się stąd! Oboje! Przyślijcie tu panią Hobbs.

Wybiegła do sypialni z całej siły zatrzasnąjąc za sobą drzwi. Kurt i pokojówka słyszeli jej głośny, histeryczny płacz. Kurt dał pokojówce dwadzieścia dolarów i powiedział, żeby coś sobie za to kupiła. Nie patrząc na zapłakaną dziewczynę dodał. – Nie martw się.

Ze swojego pokoju zatelefonował do lekarza, który opiekował się Beatrice i którego przynajmniej dwa, trzy razy w tygodniu wzywano, by zajął się zmiennymi nastrojami Beatrice.

## Rozdział 4

Niedziela była skąpana w słońcu. Kurt, wstrząśnięty wydarzeniem zeszłej nocy nie mógł się na niczym skoncentrować. Próbował czytać u siebie, lecz mógł tylko powtarzać bezgłośnie: – Gdyby tylko można jąkoś jej pomóc.

Okna jego apartamentu wychodziły na taras, skąd słycać było głos rozmowy. Podszedł i otworzył je.

– Co się tam dzieje? – zawołał.

– Jedziemy przyjrzeć się koniom – odkrzyknął Paul Jean. – Chodź tu, zabierzesz się z nami. Wyjdzie ci to na zdrowie.

– Masz rację. Poczekajcie!

Ellen, ubrana podobnie jak wszyscy w strój do jazdy konnej, usiadła obok Kurta na przednim siedzeniu przyjmując jego zaproszenie. Kiedy dotarli na miejsce, Clyde wyskoczył z auta by otworzyć drzwi Ellen.

W tej samej chwili Kurt sięgnął na drugą stronę do klamki od wewnątrz.

– Przepraszam, stary – powiedział Clyde z miną zdobywcy, jak wydawało się Ellen. Potem, kiedy zwróciła uwagę na wyraz twarzy Kurta, zorientowała się, że obaj nie czuli do siebie zbyt dużej sympatii, może nawet coś więcej. Przypomniała sobie, że kiedy Kurt usiadł za kierownicą i poprosił ją, by zajęła miejsce koło niego, Clyde zamyslił się i nie przemówił ani słowa przez całą drogę.

Jak tylko samochód zatrzymał się, podbiegła do nich pędem para olbrzymich owczarków, za którymi pędził stajenny wołając coś, czego nikt nie mógł zrozumieć: – Hej, Wisty, Maggy, do nogi! Wracać!

Ciotka Olivette pochwaliła się, przekrzykując głosy witających psów: – Ja im dałam imiona! Na cześć kwiatów. Wisty od wisterii, a Maggy od magnolii.

Ellen, próbując usłyszeć, co mówi do niej ciotka, zupełnie zapomniała o psach i po chwili z przerażeniem ujrzała wielki, czerwony pysk Maggie ozdobiony dwoma rzędami białych, ostrych zębów tuż przy swej twarzy i nie bardzo potrafiła się obronić przed wilgotnym, długim językiem psa. Jego ciężkie łapy przygniatały ją i ledwie mogła utrzymać równowagę. Kurt i Clyde rzucili się jej na pomoc, a ciotka Olivette delikatnie biła psa laską po grzbiecie.

– Zachowuj się, Maggy – krzyknął Clyde. Kurt natomiast wziął psa za szyję i szarpnął.

– Jesteś trochę zbyt wylewna, nie sądzisz Maggy? Czy nic się pani nie stało, panno Marshall?

Zdyszana i roześmiana Ellen powiedziała, że nie. – Z oddali wydawało mi się, że to kucyki.

Ciotka Olivette i Paul Jean szli teraz z przodu, zaś Ellen towarzyszyli Kurt i Cly-



de. Po chwili przystanęła i krzyknęła w zachwycie: – One są złote! Jak ze szczerego złota!

– Jest ich razem piętnaście – poinformował z dumą Paul Jean. Zagwizdał, a wtedy dwa z nich odłączyły się i wyginając szyje rzuciły się kłusem w poprzek pastwiska powiewając kremowymi grzywami i ogonami.

– Wiedzą, że mają się popisywać przed gośćmi i nie da się ukryć, że to lubią – powiedział Kurt.

Kiedy przyniesiono siodła, ciotka Olivette nagle zmieniła swoje plany. Powiedziała, że ma dość na dzisiaj wrażeń i że wraca do domu.

Od samego początku Clyde i Paul Jean jechali obok siebie omawiając plany tego pierwszego co do przebudowy i poprawek stajni. Ellen i Kurt jechali w drugiej parze i kiedy tamci przystanęli przed jednym z budynków najwyraźniej mając zamiar wejść

do środka, Kurt zapytał: – Czy nie chciałaby pani przejechać się po plaży? Jest tam bardzo ładnie.

– Z przyjemnością – zgodziła się Ellen.

Wyjechali spomiędzy zabudowań i skierowali się wzdłuż ścieżki z obu stron porośniętej sosnami, które wyglądały jak parasole, chroniące od nadmiaru słońca.

– Koniom marzy się zabawa – powiedział Kurt, kiedy dojechali do szerokiej łąki: – Wyzywam panią na pojedynek – poskaczemy trochę?

– Przyjmuję – i wyzywam pana.

Ellen zatoczyła koniem, naprowadziła na kamienną ścianę i przeskoczyła w pięknym stylu. Kurt przeskoczył jako drugi. Potem płytką fosa, za chwilę jeszcze głębsza, aż znaleźli się na twardym piasku plaży.

– Podoba się pani ta klacz?

– Jest cudowna – odpowiedziała Ellen – a do tego jest tak fotogeniczna, że powinno

się ją często fotografować – dodała, uśmiechając się do niego. Cieszyła się, że może spędzić z Kurtem kilka chwil sam na sam.

– Was obie powinno się sfotografować i oprawić w ramy – powiedział poważnie Kurt. – Nie ma pani pojęcia, jak ładnie przeszłyście przez przeszkodę. Gdzie się pani nauczyła tak jeździć?

– Moi rodzice mieli ranczo. Spędzałam tam całe wakacje. Kiedy miałam pięć lat, kupili mi kucyka. Później uczyłam się z dziewczynami w szkole.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Czasami słychać było tylko plusk wody pod kopytami koni. Morze było bardzo spokojne, fale widać było dopiero daleko za półwyspem. Co jakiś czas plaża zwężała się, skały po jednej stronie dochodziły tak blisko, że musieli jechać gęsiego.

– Żeby się pani tylko nie ześliznęła do oceanu. Atlantyk jest w tym miejscu niebezpieczny – ostrzegł Kurt żartobliwie.

– Uważam – odkrzyknęła radośnie.

Gdy plaża zamieniła się w małą, okrągłą zatokę rozgrzanego, białego piasku, otoczoną skałami, Kurt zsiadł z konia i zbliżył się do niej.

– Moja kryjówka – wyjaśnił, podając jej dłoń.

Z całego dnia, który i tak był pełen wrażeń, Ellen zapamiętała najlepiej te pół godziny, które spędzili razem. Kurt wyszukał dla niej płaską skałę, na której mogła usiąść, a sam położył się u jej stóp. Oboje patrzyli na wydęte białe żagle jakiejś małej łódki w oddali.

– Kryjówka? – zapytała Ellen, bo Kurt nagle zamilkł.

– Tak nazywam to miejsce. W czasie odpływu wygląda prześlicznie, jak teraz, ale kiedy jest przyptyw – zupełnie znika pod wodą.

– Po co miałby pan potrzebować kryjówki?

– Tak po prostu, przychodzę tutaj co jakiś czas pośmiać się z siebie – mówił niedbałym tonem, ale Ellen wyczuła w jego głosie coś jakby gorzką nutę. – Życie płata nam najprzeróżniejsze figle...

Pomyślała, że mówi o swej żonie, lecz nie odezwała się.

– Nie zawsze tak było. Przed ślubem przyjeżdżałem tutaj, żeby cieszyć się wspaniałym widokiem, żeby pogalopować sobie po plaży, albo tak sobie, bez powodu ... – mówiąc to rysował na piasku jakieś kształty.

– Potem raz albo dwa poprosiłem Beatrice, żeby ze mną pojechała, ale ona nie znosi morza, mówi, że się go boi. Tak samo traktuje też jazdę konną.

Nagle spojrzał wprost na nią, jakby od dawna marzył właśnie o tym. Wiatr zwiął jej na twarz kosmyk czarnych włosów, które przylepiły się do wilgotnej twarzy. Podniosła dłoń, by odsunąć je na bok, lecz

on szybko ukląkł i poprosił:

– Czy mogę?

Zdecydowanym ruchem, ale bardzo ostrożnie, założył jej włosy za ucho.

– Jak czarna aksamitna wstążka – powiedział.

– Zrywa się wiatr – wyszeptała.

Położył dłonie na kamieniu prawie ją obejmując. W dalszym ciągu nie spuszczał z niej wzroku.

– Czy to nie cudowne, że pani się tu znalazła? Chciałbym, żeby pani czasem tu ze mną przyjeżdżała. Moglibyśmy też popływać. Lubi pani?

Wyglądał jak chłopak umawiający się z dziewczyną na randkę.

Kiedy wracali, dodał: – Wie pani, nigdy wcześniej nikt ze mną nie był w kryjówce. Cieszę się, że Beatrice nie zgodziła się, kiedy ją o to prosiłem.

– Przykro mi z powodu pana żony. To straszna choroba.

I wtedy coś się wydarzyło – jak gdyby fakt, że wymówiła słowo żona sprawił, że od dawna duszony żal wybuchnął.

– Nie mówmy o tym – uciał krótko i popędził konia do galopu.

Kiedy wrócili pod stajnie okazało się, że Clyde i Paul Jean wrócili już do domu. Kurt zaproponował – popływamy kiedyś razem?

– Bardzo chętnie.

– O siódmej – nie będzie za wcześnie?

– Nie.

– Więc do zobaczenia któregoś dnia.

Roześmiani pobiegli do domu ostrząc sobie apetyt na obiad. Kiedy weszli do altany, ocieniającej jedno z wejść do domu, na ich powitanie wstała jakaś sylwetka ubrana na czarno. Oboje zwolnili kroku. Była to Beatrice.

– Cześć – pozdrowił ją Kurt, kiedy się do niej zbliżyli.

Odpowiedziała mu cisza. Kiedy Ellen

pomyślała sobie, że nie będzie w stanie znieść tego ani chwili dłużej, kobieta przemówiła.

– Pomyśleć by można, że masz coś do ukrycia przede mną Kurt. Mogłeś mi powiedzieć, że wybieracie się wszyscy do koni.

– Ale ty nigdy nie jeździsz – zaprotestował Kurt.

– To nawet dobrze, że mnie to nie interesuje – przerwała mu. Odwróciła się i zrobiła kilka kroków w stronę domu, za nią Kurt i Ellen, nie bardzo wiedząc co ze sobą zrobić.

Po kilku krokach, Beatrice zatrzymała się przed Ellen, chwyciła ją za długie, rozpuszczone włosy i z pogardą odrzuciła je do tyłu.

– Gdybym to ja przyjmowała się do pracy, umiałabym utrzymać swoje włosy w lepszym porządku. Mam nadzieję, że weźmie to sobie pani do serca na czas swego



tutaj pobytu.

Kurt pobladł: – Nie zapominaj, że panna Marshall jest zatrudniona przez Paula. Chwycił ją za rękę.

– Wszystko w porządku, panie Hollister – powiedziała Ellen. – Nie przeszkadza mi to.

Wyminęła ich oboje i poszła do domu, jednak trochę się przestraszyła słów, które w złości rzuciła za nią Beatrice.

– Nie przeszkadza, co? Już ja się zatroszczę o to, żeby przeszkadzało.

– Przestań, mówię ci, przestań – usłyszała, jak Kurt wybuchnął: – Mam ciebie dosyć!

– Co z sobą zrobiłaś? – zapytał Paul Jean następnego ranka, kiedy Ellen zeszła na śniadanie. Upięła bowiem swoje ciemne, piękne włosy w ciasny kok na czubku głowy. Zdecydowała się na to ubiegłej nocy. Wytłumaczyła sobie, że Kurt Hollister strasznie cierpi, a ona powinna mu po-

móc jak tylko się da. Cóż znaczy fryzura w porównaniu z jego sytuacją.

Kurt zajęty był rozmową z Paulem, lecz kiedy weszła obaj poderwali się z miejsc i podeszli do niej.

– Nie powinna pani była traktować jej poważnie, panno Marshall – zaczął Kurt. – Nie miała...

Paul Jean nic nie mówił, tylko wyjmował jedną po drugiej spinki z jej włosów, które rozsypały się jak dawniej, na ramiona.

– Wyglądałaś, jakby cię oskalpowali Indianie ze wspomnień mojego dziadka – zagrzemiał jego tubalny głos. – Dlaczego to się stało? – zapytał, patrząc najpierw na Kurta a potem na Ellen.

– Beatrice nalegała na nieco bardziej powściągliwą fryzurę panny Marshall – wyjaśnił Kurt.

– Do jasnej cholery! – krzyknął Paul Jean. – Chodź tu Ellen i zjedz śniadanie. Ja

tu jestem twoim szefem. A ta twoja Beatrice, Kurt... Moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu – uderzył pięścią w stół. Jednak w chwilę później rozparł się wygodnie na krześle . śmiejąc się głośno.

– Siedzimy tutaj we trójkę, dwóch dorosłych mężczyzn i inteligentna kobieta i rozmawiamy o fryzurze mojej sekretarki, podczas gdy akcjonariusze czekają, a Kurt lada chwila spóźni się na samolot. Niech Beatrice przyzwyczai się do tego. Jest po prostu zazdrosna, że mnie się podobasz. A teraz ani słowa więcej o całej sprawie.

Wrócili z Kurtem do przerwanej rozmowy. Kurt wybierał się do Chicago, jak słyszała Ellen, i miało go nie być przez tydzień. Paul podał mu jeszcze kilka wskazówek, Kurt zatrzasnął aktówkę i wyszedł.

– Cześć – powiedział im obojgu.

W bibliotece Ellen przygotowała się do kolejnej tury notowania. Wyjrzała przez okno i zauważyła, że zaczęło padać. Paul

Jean nie znalazł jeszcze miejsca, od którego chciał zacząć. W kominku trzaskał ogień. Paul nagle wstał i dorzucił parę kawałków drewna. Płomień zapłonął żywiej.

– Tak blisko wody zawsze robi się bardzo zimno – wyjaśnił. – Teraz będzie lepiej. Zaczynamy, Ellen.

Pracę traktował bardzo poważnie. Dyktował do samego południa z rzadka przerywając, kiedy brakowało mu jakiegoś odniesienia w notkach. Dłoń Ellen zeszywniała od pisania. Dyktował we właściwym tempie, a kiedy chciał coś podkreślić, wybijał na stole ręką rytm swoich słów. Mówił właśnie o wypłukiwaniu złota:

„... używano do tego celu drewnianych miednic wyciosanych z jednego kawałka drewna, pam, do których wsypywano piasek zawierający złoto, pam. Potem podrzucano zawartość miednicy w powietrze, pam...”

Zatrzymał się, by wziąć oddech. Ellen

podniosła głowę i zauważyła Jeffersa stojącego w drzwiach. Służący zapukał dyskretnie. W ręce trzymał małą srebrną taczkę, na której leżał list. Paul Jean odwrócił się i zapytał. – Co tam masz, Jeffers?

– Coś. dla panny Marshall, proszę pana.  
– Z podziwu godną zręcznością ominął wyciągniętą rękę Paula. – Przywieźli jako przesyłkę specjalną, inaczej bym nie przeszkadzał.

Ellen wzięła list i położyła na biurku. Od Mabilli, poznała po pieczętce z Westchester.

– Nie przeczytasz? – zapytał Paul Jean.

– To od mojej macochy, panie Hollister. Może poczekać. Jestem pewna, że nie ma tam nic ważnego.

– Gdzież twoja ciekawość, moja panno? Otwórz go i zobacz co jest w środku.

Ellen roześmiała się i rozerwała kopertę:  
– Proszę mi wybaczyć.

Potem z oczyma przykutymi do listu

czytała:

*Droga Ellen!*

*Nie jest mi tu najgorzej mimo tego, że codziennie rozdaję mleko i chleb z masłem dwudziestu dzieciakom ciotki Margaret. Przyjeżdżają z domów dla sierot – pełne dwa autobusy z mężczyzną i kobietą jako opiekunami. CM pozwala im wszędzie, jak to mówi – buszować. Chce nawet wstąpić do jakiejś organizacji młodzieżowej, ale w jej wieku nie będzie ją na wiele więcej stać, ha ha!*

*Opiekun jest bardzo przystojny. Chodzi w białych flanelowych spodniach i niebieskim golfie. Ma potężne muskuły i gra z chłopcami w baseballa.*

*Ale jeden z kierowców autobusów – to coś dla mnie. Rozumie mnie i współczuje mi, chodzi oczywiście o stratę mojego męża, a twojego ojca.*

*Takie jest życie, dzieciно. Szczerze mó-*

*wiąc wolalabym jednak zażyć więcej swobody, bez żadnych autobusów. Poza tym nie dzieje się absolutnie nic. I tak dalej i dalej, aż do podpisu z pozdrowieniami.*

Zdenerwowana Ellen wstała nagle ze swego fotela i podeszła do zroszonego deszczem okna zrzucając list na podłogę.

– O mój Boże, coś cię musiało przerazić. O co tu chodzi? Musisz pozwolić mi sobie pomóc.

Paul Jean podniósł list. Ellen rzuciła się ku niemu, nie powinien tego czytać. Lecz po chwili zmieniła zdanie. Jakie to może mieć znaczenie.

– Niech pan przeczyta, panie Hollister. Jak mój ojciec mógł ożenić się z taką kobietą? – Jej głos się załamał. Wróciła do okna, a Paul Jean zajął się czytaniem listu. Kiedy skończył, powiedział do niej.

– Kiedy twoja matka umarła, byłaś jeszcze dzieckiem, prawda?

– Miałam dwanaście lat. Potem zawsze byłam razem z nim, ale wyjeżdżałam do szkoły. Nigdy na myśl mi nie przyszło, że znowu się ożeni.

– Posłuchaj mnie, Ellen. Musimy to razem przemyśleć. Wiem coś niecoś o życiu, może nawet zbyt dużo. Możliwe, że jesteśmy skazani na przeżycie swoich dni pod jakimiś nagłówkami. Ty jesteś w jednej kategorii, ja w innej. Kobieta, z którą ożenił się twój ojciec... No cóż, jest otwarta, nie załuje nikomu sympatii, wpuszcza wszystkich do swego wielkiego serca. Oczywiście niektórych bardziej, innych trochę mniej – zachichotał, zaś Ellen zmarszczyła brwi.

– Widzisz? – ciągnął – Rozzłościłem cię. To najlepszy środek na łzy. Ale mówiąc poważnie, czy nie widzisz, że twoja macocha darzy innych sympatią? Pisze o tym, jak troszczy się o dzieci. Rozdaje im mleko i bułki, jak uśmiechy kierowcom.



Sympatia do innych jest dobrą cechą charakteru i może zastąpić wiele innych braków – przerwał na chwilę. – Ellen, ona znikła już z twojego życia, zapomnij o niej. Chodźmy teraz na lunch.

Jedli tylko we dwoje, potem przez większą część popołudnia pracowali nad książką. Wreszcie Paul Jean zakończył. – Chciałbym, żebyś część tych notatek zawiozła do sejfu w biurze w Nowym Jorku, a przywiozła kilka innych. Dam ci klucze do moich tajnych archiwów, jak je nazywam. Pomoże ci pani Winters, zna się na tym lepiej ode mnie.

Wyszedł z pokoju powiedziawszy jej, że idzie do swych ulubionych koni, co miał zwyczaj czynić zawsze w czasie deszczu. Ellen została w bibliotece porządkując rzeczy, a kiedy skończyła, zorientowała się, że jest już wieczór.

Wyszła do głównego holu, który wydawał się zupełnie opustoszały. Ellen zajrzała

do bawialni, w której też nie było nikogo. Jeszcze nie bardzo orientowała się w rozkładzie domu. Grube dywany tłumiły jej kroki. Nagle z przestachem pomyślała o Beatrice. Miała nadzieję, że nigdy nie spotka jej zupełnie sama. Z westchnieniem ulgi wróciła do holu, gdzie na kominku wesoło trzaskał ogień. Dodało to Ellen odwagi. Z boku dostrzegła cień schodów. W ułamku sekundy znalazła się na nich. Nagle głośne kroki wdarły się w jej nie całkiem spokojną świadomość. Złapała się za balustradę i odwróciwszy zobaczyła młodego mężczyznę mknącego po schodach. Czyżby chciał ją dopaść? Zdrętwiałymi dłońmi złapała się mocniej poręczy, spojrzała mu prosto w twarz i czekała, co się dalej stanie. Młody człowiek nie zaszczyił jej nawet spojrzeniem.

– Jest Flossie? – doleciało ją zdanie gdzieś z okolic pierwszego piętra.

– Nie wiem. Jej pokoje... Ellen rzuciła

słowa w stronę znikającej sylwetki, która nie zatrzymała się ani na sekundę. Nie miała nawet czasu zorientować się bliżej w wyglądzie mężczyzny, który ją minął, jednak wyraz twarzy, który zdążyła uchwycić w locie, był zdecydowanie niezadowolony. Nie zwalniając ani na chwilę mężczyzna przerwał jej:

– Wiem, gdzie są jej pokoje – powiedział głośno.

Ellen poczuła się jakby ktoś wymierzył jej policzek.

Poszła jednak za nieznanym gościem. Rzeczywiście wiedział, gdzie są pokoje Flossie i bez wahania podszedł do jej drzwi. Ku jej zaskoczeniu otworzył je bez pukania. Najwidoczniej Flossie siedziała w bawialni, która wychodziła na główny korytarz.

– Wynoś się! – krzyknęła na powitanie.  
– Wynoś się, słyszałeś? Powiedziałam ci, że nie chcę cię więcej oglądać na oczy!

Ellen usłyszała odpowiedź mężczyzny, nim zamknął drzwi.

– Nie wrzeszcz!

Więc to był mąż Flossie. Sytuacja wydawała się groźna: oto w pustym domu grasuje szalony mąż Flossie. We właściwym momencie przypomniała sobie, że Flossie zawsze kłóciła się ze swym mężem. Wzruszyła ramionami i zdecydowała, że powinna pozwolić potoczyć się wypadkom ich własnym biegiem.

Tuż przed kolacją, kiedy podziwiała kolekcję drobiazgów z kości słoniowej w gablocie, usłyszała tubalny głos Paula Jeana. Najwidoczniej wyszedł właśnie z biblioteki i spotkał Flossie z mężem schodzących na dół.

– Nie zostajecie na kolację?

– Flossie chce wrócić do domu – oznajmił mężczyzna zdecydowanie.

Ellen spojrzała na Flossie oczekując z jej strony jakiejś reakcji na słowa męża,

lecz ta szła przytulona do niego. Nie sięgała mu nawet do ramienia, zauważyła Ellen, a ze swymi jasnymi włosami na tle ciemnej marynarki wyglądała jak mały biały kotek, który lada chwila zacznie mrużyć z zadowolenia.

Nieposkromiona Flossie idzie posłusznie za mężem. Nie do pomyślenia!

– Chodź – wyswobodził rękę z jej objęć i podał ją Paulowi Jeanowi. – Do widzenia panu.

– Do widzenia, Charles, mój chłopcze!

Flossie zarzuciła Paulowi ręce na szyję i delikatnie go pocałowała. Ten przytrzymał ją na chwilę i powiedział: – Zajmij się nią, Charles.

Lecz on był już przy drzwiach. Flossie wyśliznęła się z objęć Paula Jeana, dogoniła męża i chwyciła za rękę. Żadne z nich nie obejrzało się.

– Pasuje do niej jak ulał – roześmiał się.  
– Zawsze wie, czego jej trzeba.

## Rozdział 5

– Panna Marshall? Jestem Martha Winters. – przedstawiła się wysoka, siwa kobieta, kiedy Ellen zjawiała się w biurze Kurta Hollistera na polecenie Paula Jeana. – Proszę usiąść. Pan Hollister prosił mnie, żebym pomogła pani przeglądnąć niektóre dokumenty. Proszę poczekać chwilę, ja tylko przejrzę dzisiejszą pocztę.

– Oczywiście – odpowiedziała Ellen. – Usiądę sobie przy oknie, żeby pani nie przeszkadzać.

Co jakiś czas spoglądała ukradkiem na kobietę podziwiając jej zręczność w otwieraniu kopert i szybkość z jaką sporządzała notatki. Wyglądała na damę w każdym calu – starannie uczesana, szczupła, ubrana w granatowy kostium z białym kołnierzykiem i takiego samego koloru mankietami. Od czasu do czasu nerwowym ruchem ściągała i wkładała okulary na swój orli

nos. Wreszcie nacisnęła przycisk interkomu i do gabinetu weszła stenotypistka, młoda, ładna dziewczyna, którą przedstawiła Ellen.

– Aha, dzisiaj to twój dzień, Milly. Panno Marshall, to jest Milly James.

Milly usiadła za kremowym biurkiem i otworzyła notatnik, nim zwała się na nią lawina słów pani Winters. Ellen spojrzała na zegarek – przyszła do biura o dziesiątej, teraz była prawie dwunasta. Coś tu było nie w porządku, z pewnością trzyma ją tu naumyślnie, ale dlaczego? przecież przez ten czas mogła zrobić wiele. Zręczne palce stenotypistki dosłownie fruwały po kartkach notatnika. Zadzwonił telefon. Odebrała pani Winters, po czym wstała i powiedziała:

– Odbiorę w gabinecie pana Hollistera.

Pochylona nad jakimś kolorowym czasopismem, Ellen usłyszała cichutkie psst. Podniosła głowę. Stenotypistka robiąc ta-

jemniczą minę zapytała: – Czy pani jest tą panną Marshall, co mieszka u Hollisterów?

– Tak, pomagam panu Hollisterowi.

– Ładnie! Sucha pani nie daruje. Prowadziła przez całe życie jego archiwum, a teraz on przekazał wszystko pani. – Nim Ellen zdążyła odpowiedzieć, dziewczyna przyłożyła palec do ust: – Cicho! Idzie.

Wróciła panna Winters i spojrzała na zegarek.

– Bardzo mi przykro – zwróciła się do Ellen – ale muszę iść na lunch z jednym z naszych klientów. Może zechce pani zjeść coś razem z Milly. Kiedy pani wróci, Milly pokaże pani archiwum, bo ja mogę się spóźnić. Proszę zacząć, jak tylko wrócicie, przerwa trwa godzinę. – Z tymi słowami pani Winters wyszła. Ellen siedziała jak skamieniała.

Milly odezwała się pierwsza:

– Chce, żebyśmy tu siedziały cicho, aż wróci – zachichotała. – Pracuję tu przez



sześć lat, ale w przyszłym miesiącu wychodzę za mąż, więc już mnie nie nastraszy. Chodźmy na lunch, a ja ci wszystko opowiem.

Gdy usiadły przy stole w restauracji, Milly zaczęła mówić i wprost niepodobna było jej przerwać.

– Sucha ma fioła na punkcie pana Hollistera, nie młodego, ale starego, Paula Jana. Zaczęła u niego pracować, jak miała dwadzieścia lat. Musisz wiedzieć, że on jest kawalerem, a ona próbowała przez tyle lat! Nawet wyjeżdżała z nim do Kalifornii, do kopalni, kiedy jeszcze pracował jako inżynier. Tam zaczęła się cała historia z archiwum, którego Sucha dla niego dogląda. Są tam notatki dziadka, ojca i wreszcie samego pana Hollistera. Mówi się, że mają dużą wartość historyczną. Kiedy podupadł na zdrowiu, nie mógł więcej przychodzić do biura. Szkoda, że jej wtedy nie widziałas. Ale właściwie nie wiem, co mu dole-

gało... – wzięła głęboki oddech i ciągnęła dalej. – Wrócił do domu na rok, wszyscy mówili, że chciał odpocząć. A teraz, kiedy jest mu lepiej, zaczyna pisać książkę i zatrudnia nową sekretarkę. Sucha, kiedy dzisiaj panią zobaczyła... Jest pani bardzo ładna, każdy by to przyznał.

– Jesteś bardzo miła – podziękowała z zakłopotaniem Ellen.

– Niech się pani nie przejmuję.

– Milly, wydaje mi się, że kończy nam się przerwa. Pójdziemy już?

– O Boże, jak ten czas leci.

Milly była bardzo zręczna, wiedziała dokładnie, o co chodzi Ellen, tak że przed powrotem pani Winters za kwadrans czwarta miała już prawie wszystko gotowe. Pokój, w którym przechowywano archiwum, z półkami po sam sufit znała z pierwszej wizyty u Kurta. Najstarsze notatki Paul Jean trzymał w zamkniętej na klucz szafce wbudowanej w ścianę. Milly powiedziała jej,

że wszystkie miały coś wspólnego z kopalnią. Pani Winters została w swoim gabinecie i najwidoczniej nie miała ochoty na rozmowę z nimi. Na koniec Ellen powiedziała do Milly:

– Więcej nie zmieści mi się do teczki. Jeżeli pan Hollister będzie potrzebował więcej, wrócę tu jutro. Bardzo mi pomogłaś, Milly. Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła z uśmiechem Milly.

Ellen poszła do biura pani Winters, lecz ta była zajęta jakimś dokumentem i nie podnosiła głowy, więc Ellen powiedziała krótko: – Do widzenia. Dziękuję pani.

– Nie ma za co.

Po drodze do domu zastanawiała się, co ma o tym wszystkim myśleć, na przykład o panie Winters.

Po kolacji Paul Jean powiedział, że weźmie do siebie wszystkie dokumenty, które przywiozła Ellen, przejrzy je i zadecyduje,

czy mogą kontynuować pisanie. Razem zdecydowali jednak, że potrzeba więcej danych i że Ellen powinna następnego dnia wrócić do Nowego Jorku.

Chwilę później Ellen mając przed sobą kolejne spotkanie z panią Winters zdecydowała, że powinna wcześniej odetchnąć świeżym, morskim powietrzem.

Księżyc w pełni rzucał miękką poświatę na świeżo przystrzyżoną trawę, powietrze pełne było zapachu sosen i rechotania żab. Szła powoli wysypaną żwirem ścieżką koło ogrodu, gdzie kilka dni temu pracowała. Cieszyła się, że nie poszła spać. Przez chwilę pomyślała o Kurcie. Kiedyż on wróci? Kiedy o nim myślę, wydaje mi się, że jest obok mnie. Ellen rozpuściła włosy i pozwoliła, by ciepła bryza wiała jej prosto w twarz.

– Co też ma pani do powiedzenia księżycowi? – zapytał miękko męski głos. Dwa ramiona chwyciły ją w pasie i przytu-

liły do szerokiego ramienia. Ellen zdołała odwrócić głowę: – Clyde! – Panie Hollister!

Ellen próbowała uwolnić się z jego objęć. Clyde tak samo nagle, jak ją objął, uwolnił z uścisku, że o mało nie upadła.

– Panie Hollister, tak nie można.

– Wiem, wiem. Ale czy zawsze musi pani tak ponętnie wchodzić mi w drogę? Jak tego wieczora, kiedy znalazła się pani w moich ramionach? Było nam pisane się spotkać, mój aniele.

Ellen przeleciało przez myśl wiele ostrych słów, lecz nie użyła żadnego z nich. Clyde także milczał. Gwałtowny gniew, który wstrząsnął nią, zniknął. Clyde spojrzał jej prosto w oczy.

– Jak pani myśli, po co żyje człowiek? – zapytał.

– Oznacza to różne rzeczy dla różnych ludzi – odparła z wahaniem, nie chcąc wydać mu się zbyt naiwna czy płytką.

– Właśnie to nie podoba się innym we mnie – powiedział ze wzburzeniem. – Że próbuję być sobą.

Nachylił się, by móc zajrzeć jej w oczy, a potem podniósł ją jak piórko i posadził na płaskim murze.

– Chcę panią widzieć w świetle księżyca. Chcę, żeby pani na mnie patrzyła, żeby wyrobiła sobie pani swoje własne zdanie o mnie. Jakbyśmy tylko my pozostali na tym świecie. Wokół nas nie ma żywej duszy.

Ellen spojrzała w niebo, słysząc łomota- nie fal rozbijających się o brzeg. Nie była w stanie powiedzieć, co myśli o tym porywczym, lecz nie pozbawionym uroku mężczyźnie.

– Jest pani zagadkowa, podniecająca i piękna. Proszę mi obiecać, że się pani zastanowi, dobrze?

Taki mężczyzna był w stanie zawrócić w głowie każdej dziewczynie, lecz Ellen odpowiedziała spokojnie: – Obiecuję, ale

wcześniej chyba muszę się czegoś o panu dowiedzieć. Powie mi pan?

Chwyił ją mocno za rękę i poczuła, że drży. Wskoczył lekko na mur i przysiadł obok niej. Próbowwała oswobodzić dłoń.

– Proszę, niech pani nie zabiera dłoni i patrzy na mnie. Wiem, co pani myśli, dopóki widzę oczy. – Po chwili dodał. – Kocham panią.

– Proszę pana... – Ellen chciała odejść.

– Nie, proszę tu zostać. Chciałem, żeby pani wiedziała. Zdarzało mi się kochać urodę kobiety, ale teraz kocham też kobietę. Zorientowałem się w chwili, kiedy panią ujrzałem.

Ellen nie odpowiadała. Clyde zamilkł na chwilę, ale coś najwidoczniej nie dawało mu spokoju.

– Wyrzucali mnie to z jednego college'u to z drugiego, zaciągnąłem się jako marynarz na statek, byłem właścicielem stadni-ny koni. Byłem aktorem, maklerem –

przez dwa dni. Siedziałem w więzieniu, ale nie tutaj, w Ameryce Południowej. Jestem pilotem, mam tu swój samolot. Chciałbym panią kiedyś zabrać. Mieszkałem w Paryżu, studiowałem historię sztuki i kilka innych rzeczy. Jestem bardzo dobrym architektem, nawet Paul Jean pani to powie. Ale przez całe swoje życie, mimo tłumu przyjaciół, czułem się bardzo samotny.

Wziął jej dłonie i przyłożył sobie do twarzy.

– Teraz pani jest moja.

– Jeżeli będzie się pan tak otwarcie do mnie zalecał, będę musiała stąd odejść.

Zeskoczył, podniósł ją do góry i trzymał. Potem pocałował ją – długo i namiętnie.

– Chodźmy – powiedział i wziął ją za rękę. – Nigdy więcej się to nie powtórzy.

Na drewnianych schodach odwrócił się nagle i złapał ją za ramiona.

– Nie chcę kradzionych kawałków miło-



ści – chcę pani całej.

Potem poprowadził ją szybko w stronę domu. Na tarasie zatrzymał się i pocałował ją bardzo delikatnie w dłonie, najpierw jedną, potem drugą.

– Dobranoc, aniele.

Ellen powoli przemierzyła kawałek trawnika dzielący ją od domu. Czyżby jakaś ubrana na czarno smukła postać wśliznęła się do domu?

Frontowe drzwi były otwarte, więc Ellen ile sił w nogach pobiegła na górę. Jeżeli tym cieniem była Beatrice z pewnością powie Paulowi Jeanowi lub Kurtowi o tym, co widziała i doda coś, czego nie widziała. Po raz pierwszy od początku pobytu w Hollister House Ellen zamknęła okna wychodzące na morze, teraz skąpane w świetle księżyca, i zaciągnęła różowe zasłony. Wtuliła twarz w poduszkę. Czy zrobiła źle słuchając Clyde'a? Gdyby tak jej ojciec mógł być teraz przy niej. Może Kurt... Za

nic w świecie nie opowiedziałaby mu o tym, co zdarzyło się wieczorem. Ale żeby tylko mogła go zobaczyć, być blisko niego.

Muszę się przecież przygotować, jutro rano przyjeżdża kierowca, żeby mnie zabrać na stację. Pracuję tu i nie płacą mi za to, by spacerować w świetle księżycy z młodymi mężczyznami. W końcu zasnęła.

## Rozdział 6

Kiedy Ellen weszła do biura panny Winters, naprzeciw niej wyszła Milly z łobuzerskim uśmiechem malującym się na jej szczupłej twarzy.

– Panny Winters dziś nie będzie – zapowiedziała. – Bardzo boli ją głowa. Czyż nie będziemy za nią tęsknić?

– Z pewnością – odparła Ellen, ale musiała się odwrócić, by ukryć uśmiech ciskający się na usta.

– Teraz możemy naprawdę zabrać się do pracy, panno Marshall.

Milly była rzeczywiście niezastąpiona. Pokazała Ellen archiwum i sposoby katalo-

gowania różnych rodzajów informacji. Wyjaśniła sposób ułożenia książek, co znacznie ułatwiło jej wykonanie poleceń Paula Jeana.

Przed południem zadzwoniła ciotka Olivette i zaprosiła ją na lunch do Klubu Śpiewaków.

– Zamówimy sobie wszystkie rzeczy, które są niezdrowe i od których tyjemy – cieszyła się. – Poczekaj na mnie w biurze, przyjadę po ciebie.

Kolejną rzeczą, którą usłyszała Ellen, był kawałek pieśni – *o miłości wróć...* – Ciotka Olivette najprawdopodobniej odeszła od telefonu i zapomniała odłożyć słuchawkę na widełki.

– Słyszałam śpiew. To była pani Olivette, siostra pana Hollistera, prawda? – zapytała Milly.

– Tak. Zaprosiła mnie na lunch.

– To wspaniała kobieta. Nie ma pani pojęcia, panno Marshall, jaka jest dla nas do-

bra. Na Boże Narodzenie każda z nas dostaje czek oprócz regularnej premii. Ostatnim razem przyjechała do nas zaśpiewać nam kolędy.

W taksówce, po drodze do klubu, Olivette powiedziała:

– Wiesz, Marshall, zabieram cię do klubu, żeby cię pokazać. Beatrice wezmą diabli – okuta srebrem laska zastukała w szybę tuż nad uchem kierowcy. – Tylko spokojnie, młody człowieku, jedziemy na lunch, nie do gaszenia pożaru.

W klubie ciotka Olivette nie mogła opędzić się od znajomych, a jej poczucie humoru sprawiało, że wszyscy w zasięgu słuchu wprost nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Zanim podano deser, Ellen musiała ją pożegnać. Tyle jeszcze trzeba było zrobić w biurze.

– Szkoda. Myślałam, że pojedziemy do mojego krawca. Kiedyś wybierzemy się na zakupy na cały dzień. Uwielbiam to.

Olivette została z przyjaciółmi, a Ellen pospieszyła do biura. Milly kończyła przepisywać na maszynie indeks, który miał ułatwić Ellen poruszanie się po archiwum.

– Jak będzie to pani miała przy sobie, nie musi pani o nic pytać Sucheja. Nie musi pani nawet prosić mnie o pomoc – dokończyła z żalem.

– Milly, zawsze będę cię prosić o pomoc.

W tej samej chwili dały się słyszeć czyjeś szybkie kroki. Milly przestała pisać nasłuchując. Ellen, ponieważ stała bliżej, poszła otworzyć drzwi i stanęła jak wryta, twarzą w twarz z Kurtem Hollisterem.

– Panna Marshall, jakże mi miło. Zbiera pani dane w archiwum dla Paula? Czy panna Winters pomaga pani?

Milly odzyskała władzę w kończynach i podeszła do nich.

– Panny Winters nie ma dziś w pracy. Źle się czuje.

– Szkoda. Panno Marshall, mam do pani znowu wielką prośbę. Przyjechałem tu, żeby opracować kilka ważnych umów. Czy... ?

– Oczywiście, panie Hollister – zgodziła się Ellen, z całych sił powstrzymując się od wyrażenia swych uczuć. – Prawie skończyłam.

– Obawiam się, że nie wie pani, co ją czeka – powiedział Kurt, kiedy Ellen usiadła przy nim za biurkiem. – Może nam to zabrać z godzinę.

Ellen uśmiechnęła się. – Zostanę tyle, ile będzie trzeba.

Tego dnia ubrana była w sukienkę z delikatnego letniego materiału, dobraną kolorem do jej oczu, której krój uwydatniał jej atrakcyjną figurę. Nie nosiła żadnej biżuterii. Skrzyżowała nogi w kolanach. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Kurt wlepił w nią oczy. Milly James wyszła z gabinetu i zostali sami. Było cicho, spokojnie i,



jak pomyślał Kurt, pięknie. Nic nie mówił, jego uczucie było głębsze niż słowa. Zastanawiał się, co sprawiało, że myślał w takiej chwili o Beatrice i o tym, że nie czuł do niej zupełnie nic. By otrząsnąć się ze smutnych myśli, powiedział:

– Ten kontrakt ma dla nas szczególną wagę, panno Marshall. Muszę się nad nim zastanowić.

– Czy mam wyjść? – zaofiarowała się natychmiast Ellen.

Kurt uzmysłowił sobie, że oto stała koło niego najpiękniejsza dziewczyna, jaką do tej pory widział. Powiedział pospiesznie: – Nie. nie. Proszę zostać.

Podszedł do okna. Znajdowali się wysoko ponad zgiełkiem i hałasem ulicy. Kurt patrzył na geometryczne kształty drapaczy chmur Nowego Jorku, na nie kończące się strumienie samochodów, na ludzi wielkości mrówek. Po raz setny dziwił się niesanym prawom, które rządziły całym tym

ruchem. Kiedyś Paul Jean powiedział, patrząc z tego samego okna:

– Ludzie postępują według reguł. Gdyby ich zabrakło... pozabijaliby się.

Kurt roześmiał się. Jeszcze tego mu brakowało.

– Jest pani gotowa? – zapytał radośnie.

– Tak – odparła zdziwiona Ellen, ale wkrótce jej samej zrobiło się wesoło. Postawiła ołówek na baczność i zapytała: – Czy będzie to test na wytrzymałość, czy też zależy panu na szybkości?

Roześmieli się oboje. Nagle Kurt uderzył się w czoło:

– Dlaczego nie przyszło mi to wcześniej do głowy? Chciałbym z panią przedyskutować pewne problemy, które napotkał nasz pracownik w Chicago. Nie będę nic dyktował, zanim nie poznam pani zdania w tej sprawie.

Wstał, podał jej papierosa, zapalił, dopiero potem sam się obsłużył.

– Niech się pani nie krępuje spacerować ani siedzieć, gdzie pani się podoba, żebyśmy mogli normalnie porozmawiać.

Ellen dołączyła do niego przy oknie. Kurt zaczął:

– Zbyt wielka to odpowiedzialność dla jednego człowieka. Pani opinia bardzo mi pomoże. Szkoda, że nie była pani w kopalniach. Sam jeżdżę tam dwa razy do roku. odkąd Paul Jean przestał.

– Bardzo chciałabym zobaczyć kopalnie – przyznała się Ellen. – Praca nad książką pana Hollistera przybliżyła mi kłopoty, z jakimi borykali się górnicy w dawnych czasach.

– Z pewnością. Czasy były wtedy bardzo ciężkie. I właśnie to próbujemy przez cały czas naprawić, parę pokoleń później próbujemy wyjaśnić pracującym pod ziemią górnikom, że nie są bezradną, zapomnianą masą której zwierzchnikom zależy tylko na tym, by schować sobie całe to zło-

to gdzieś u siebie, w szopie.

– I nie jest wam łatwo przekonać ich, że w rzeczywistości ich dobro leży wam na sercu? – zapytała Ellen.

– Dokładnie o to chodzi. W pani ustach brzmi to znacznie jaśniej. Mój człowiek w Chicago wystąpił z kilkoma propozycjami w zakresie poprawy bezpieczeństwa pracy, zaplecza...

– I chce, żeby pan zgodził się na podwyżki? – odgadła Ellen, myśląc, że oczy Kurta nabierały dziwnego blasku, kiedy patrzył na nią.

– Mogłem się domyślić, że się pani od razu zorientuje.

– I co dalej? Są jakieś inne kłopoty?

– Paul Jean – Kurt powiedział bez namysłu. – Jest człowiekiem ze starej szkoły; sama pani o tym wie. Nadal mu się wydaje, że powinno im sprawiać przyjemność wydzieranie bogactwa nieprzyjaznej ziemi gołymi rękami. Nie chodzi o to, że nie

zgodzi się na planowane wydatki, kiedy przedstawię mu plany, on po prostu uważa, że ludzie powinni tam zejść i pracować z wysiłkiem, w pocie czoła.

– A co pan o tym sądzi?

– Chciałbym się zgodzić na każdą z propozycji nadzorcy. Jest na miejscu, zna ludzi i wie, jaka jest sytuacja. Pracuje dla nas od lat, to chodząca uczciwość, i zna się na rzeczy. – Po chwili dodał: – Próbuję przekonać panią do tego, co myślę, ale przede wszystkim chciałbym usłyszeć pani zdanie.

Zanim zdążyła się zorientować, zaczęła przedstawiać Kurtowi swój punkt widzenia, choć wszystko, co wiedziała na ten temat, było związane z książką, nad którą pracowała z Paulem Jeanem. W pewnej chwili przerwała, zaskoczona tym, co robiła.

Lecz Kurt chwycił ją za rękę:

– Ellen, Ellen, teraz wiem, co napisać –

rzucił się do swego biurka.

– Chodź tutaj. Aha, od teraz jesteśmy na ty, dobrze? – Podniósł głowę czekając na odpowiedź.

Ellen potaknęła.

– Mogę od razu wziąć maszynę do pisania, jeżeli pan... , znaczy, jeżeli chcesz, Kurt.

Gdy po raz pierwszy wymówiła jego imię, ich twarze rozjaśniła jakby podświadoma radość. Kurt wziął głęboki oddech. Ellen usiadła przy maszynie, wciągnęła papier i czekała na jego znak. Kurt zawahał się, a potem, trochę głośniejszy, niż było trzeba, zaczął mówić. Słowa przychodziły mu łatwo i dość dokładnie oddawały jego myśli. Praca nie zabrała im dużo czasu. Kiedy Kurt kładł dłonie na oparciu jej krzesła, starała się ze wszystkich sił opanować, ale nie potrafiła wyrzucić ze swej świadomości tego, że jest bardzo blisko kogoś, na kim jej bardzo zależy, tak jakby otwierało

się przed nią zupełnie nowe życie, nowe doświadczenia.

– Jak to się stało, że we dwoje zrobiliśmy tak wiele? – powiedział Kurt. – Wydawało mi się, że będziemy musieli zostać tu aż do wieczora. Wiesz co? Idź po kapelusz, zjemy razem kolację. Tyle jeszcze mam ci do powiedzenia.

Posłusznie Ellen ubrała kapelusz wykonany przez zręczną modystkę z kawałka materiału dokładnie tego samego rodzaju, co jej sukienka. Kiedy wróciła, Kurt spoglądał na nią bez słowa, co nie zdarzyło mu się po raz pierwszy.

– Chodźmy – powiedział szorstko.

Zabrał ją na obiad do jednego z klubów, których był członkiem, lecz dla Ellen nie miało to znaczenia. Pamiętała tylko, jak błyszcząca srebrna zastawa i że kelner był bardzo zręczny. Nie wiedziała nawet, co jadła. Wsłuchiwała się w głęboki głos Kurta, jak opowiadał o planach poprawy wa-

runków pracy górników, o sobie, jak grał w polo parę lat temu. Teraz był zbyt zajęty.

Ellen zdała sobie nagle sprawę, że ten mężczyzna, młody, wykształcony – był bowiem prawnikiem – jest przytłoczony jakimś ciężarem, którego dłużej już nie może znieść. Kiedy podano kawę, zapytał zniecierpliwiony:

– Czy myślisz, że między dwoma osobami – kobietą i mężczyzną może zawiązać się głębokie uczucie bez pewnej atrakcyjności intelektualnej partnera?

Po chwili, widząc uśmiech malujący się na twarzy Ellen, pospieszył z wyjaśnieniem:

– Powiedzmy, że mężczyzna jest inteligentny i silny, zaś kobieta piękna i podniecająca. Mnie się wydaje, że miłość musi mieć trwalszy fundament oparty na intelekcie.

Dodał jeszcze, że bardzo chciałby wy-



brać się z nią do teatru, lecz spieszył się na wieczorne spotkanie w interesach, i że przynajmniej przez dwa dni nie zawita do Hollister House. Odwiózł ją na stację. Ellen przez całą drogę do domu rozmyślała o nim. Cóż za zdumiewający mężczyzna. Ciekawe, co by się stało, gdyby ją pocałował?

Paul Jean zostawił wiadomość dla Ellen, by przyszła do biblioteki po powrocie do domu, więc bez zastanowienia posłuchała. Przejrzał wyciągi, które dla niego sporządziła, i był wniebowzięty.

– Sam bym tego lepiej nie zrobił.

Ellen opowiedziała mu o lunchu z ciotką Olivette i wcześniejszej kolacji z Kurtem.

– Wiem – powiedział. – Kurt dzwonił do mnie jakiś czas temu i powiedział, że bardzo mu pomogłaś. Nie wiem, jak sobie radziliśmy przedtem, bez ciebie.

– Pan żartuje, panie Hollister. – Nie wierzyła, że myśli tak naprawdę.

– Nie żartuję. Mówię zupełnie poważnie. A skoro już jesteśmy przy tobie, chciałbym, żebyś się u nas rozgościła.

Jeżeli czegoś ci potrzeba, nie zastanawiaj się, tylko powiedz, a jak będziesz miała jakieś kłopoty, przychodź z nimi do mnie albo do Olivette.

Ellen uśmiechnęła się – dzisiejszy dzień mogła z pewnością zaliczyć do miłszych w swym życiu.

Paul Jean kontynuował:

– Jutro przez cały dzień zajmiemy się książką, a potem trochę przepisywania na maszynie. Nie chcę zarzucać górą notatek najlepszej sekretarki, jaką kiedykolwiek miałem.

– Rozpieszcza mnie pan – powiedziała z uśmiechem Ellen.

– Ty się nie dasz rozpieścić. A w niedzielę – co byś powiedziała na przejażdżkę moją łodzią?

– „Księżniczką”? – uradowała się Ellen.

– Tak. To dzięki mnie jest tym, czym jest. – Paul Jean wstał i odprowadził ją do drzwi. – Nie zadawaj mi tylko pytań na jej temat, bo zostaniemy tu całą noc. Dobranoc, Ellen.

– Dobranoc – odparła Ellen patrząc na jego pokrytą zmarszczkami, pełną godności twarz. Czuła się zaszczyczona, że go poznała, lecz oczywiście nie wypadało jej tego powiedzieć.

Po drodze do swego pokoju Ellen była pewna tylko jednej rzeczy. Wydarzyło się tak wiele, że w ogóle nie mogła myśleć, wiedziała tylko, że jest bardzo zmęczona.

– Masz cudowne nogi, aniele.

Z fotela stojącego pod ścianą zerwała się szczupła, • wysoka sylwetka mężczyzny. Ellen stanęła jak wryta.

– Siedzę tu już ładnych kilka godzin i czekam, żeby Paul Jean skończył wreszcie nudzić na temat swojej książki. Chodź tutaj na chwilę. Mam coś dla ciebie.

Kiedy podeszła, podał jej bukiet kwiatów pachnącego groszku, niezwykłych, bo koloru orchidei. Ellen widziała go w ogrodzie ciotki Olivette.

– Czy kiedykolwiek w życiu spotkałaś tak cudowny zapach? – zapytał.

Ellen przytuliła je do twarzy.

– Wiedziałem, wiedziałem! – wykrzyknął.

– Co? – zapytała.

– Są dokładnie tego samego koloru co twoje oczy nocą – ciemnofioletowe.

Zakłopotana Ellen odpowiedziała po prostu. – Dziękuję.

– Jedziesz jutro do Nowego Jorku, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej. – Spotkamy się, kiedy skończysz pracę w biurze, zjemy razem kolację. Kupię ci orchidee i będziemy długo tańczyć. I będę cię przez cały czas trzymał w ramionach – zakończył ochrypłym głosem.

– Ale ja jutro pracuję cały dzień tutaj, z

panem Hollisterem.

Jego nastrój zmienił się tak gwałtownie, że Ellen zakreśliło się w głowie. Świdrował ją swymi ciemnymi oczyma i wybuchnął:

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że wybierasz się do Nowego Jorku? Jesteś okrutna.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Zupełnie go nie rozumiem, pomyślała Ellen, wykonuje takie dziwne gesty. Jak poprzedniego wieczoru, nie było łatwo jej zasnąć.

## Rozdział 7

Ranek następnego dnia był bardzo ciepły. Kiedy wyjmowała swoją najlepszą, najłżejszą biało-niebieską sukienkę zauważyła, że odpruł jej się kawałek podszewki. Nie miała u siebie przyborów do szycia, więc przerzuciwszy sukienkę przez ramię poszła zapytać Jeffersa, co czynić w takim przypadku.

Kiedy znalazła się na dole, wyjaśniła, o co chodzi.

– Proszę ze mną, panno Marshall – powiedział Jeffers. – Jest u nas szwaczka, wnuczka starego Dominika, który zajmuje się ogrodem.

Ellen usłuchała go i zajrzeli razem w kilka miejsc, gdzie powinna być – do pokoju, w którym przechowywano pościel, potem do bawialni pozbawionej zasłon, gdzie podłogę zaścielały zwoje materiału,

najwyraźniej czekając na przeszycie, wreszcie do słonecznej szwalni, gdzie były dwie maszyny do szycia, wykroje sukien i tym podobne rzeczy, ale ani śladu Mary Gilly. Zeszli więc na dół do ogrodu, by odszukać Dominika i zapytać go, gdzie jest jego wnuczka.

Ten zaś ręką, w której trzymał na wpół wygasłą fajkę, wykonał gest w kierunku białej altany za drzewami, lecz Ellen dostrzegła w jego wzroku zapiekłą nienawiść.

– Pewnie, że wiem, gdzie jest. Z nim, tam w altanie. Poprawiają farbę, czy coś. Pan Clyde ...

Nienawiść wydawała się wypełniać wyblakłą denimową bluzę, w którą był ubrany. Odszedł nie mówiąc więcej ani słowa.

Dlaczego dziadek miał się tak bardzo przejmować tym, że Clyde Hollister pomaga jego wnuczce malować altanę, Ellen nie bardzo potrafiła sobie wyjaśnić. Patrzyła

na starego ogrodnika zdając sobie sprawę, że jest coś, czemu chciałby się stanowczo sprzeciwić, ale nie potrafi. Jeffers stał także na ścieżce, patrząc w tę samą stronę co ona.

– Widzę stąd altanę – powiedziała – poradzę sobie sama. Dziękuję.

– Dobrze – odpowiedział i wrócił do domu. Ellen skierowała się zarośniętą mchem ścieżką do altany, z której wnętrza dochodziły przez otwarte okna dwa głosy – mężczyzny i kobiety. Mężczyzną był bez wątpienia Clyde Hollister, ten sam, który przed chwilą tak czule do niej samej przemawiał, i on też mówił przez większość czasu. Ze strony dziewczyny słychać było tylko wybuchy śmiechu w odpowiedzi.

Wygląda na to, że Clyde znalazł sobie kogoś bardziej odpowiedniego. Zwolniła kroku, nie chciała bowiem przeszkadzać. Potem jednak zdecydowała, że nie wróci, miała ze sobą sukienkę, którą trzeba było



zreperować, a zależało jej na tym.

Clyde i dziewczyna leżeli obok siebie na podłodze, tyłem do wejścia, odwracając głowy tylko na tyle, na ile było trzeba, by spojrzeć na siebie i wybuchnąć śmiechem. Jest ładna, pomyślała Ellen, nie całkiem świadoma swej urody, jak rozkwitła róża. Jest chyba w moim wieku, coś koło dwiętnastu, dwudziestu lat. Nic dziwnego, że podoba się Clyde'owi. I te długie, zgrabne nogi z wyraźnie rysującymi się mięśniami, jak u pływaczki.

Ellen poczuła się nagle winna, że podsłuchuje. Zastukała lekko do drzwi, żałując, że nie jest w tej chwili zupełnie gdzie indziej. Clyde obejrzał się i krzyknął na dziewczynę: – Ktoś do nas przyszedł, zamknij się i wstawaj.

Dziewczyna reagowała powoli. Podniosła się i usiadła na podłodze. Nie odzywała się, jakby nikogo nie zauważyła. Ellen dostrzegła ładną twarz, przypominającą tro-

chę lalkę z dość szeroko rozstawionymi brązowymi oczyma.

Clyde skoczył na równe nogi i podszedł do Ellen. Miał na sobie białe szorty i nieco przydługawa marynarkę z dwoma wielkimi kieszeniami opiętą paskiem. Ellen wbrew sobie pomyślała, że jednak jest przystojny.

– Cześć – odezwał się Clyde po przyjacielsku.

– Cześć – odpowiedziała. Zapomniała nawet o sukience, którą przyniosła. Clyde, jak to mieli w zwyczaju wszyscy chyba Hollisterowie, nie pytając o pozwolenie wziął ją i przyjrzał się krytycznym wzrokiem.

– Trzeba coś przyszyć? – zapytał. Zauważył nadpruty szew.

– Twoja działka, Mary – odwrócił się w kierunku dziewczyny i widząc, że jeszcze nie wstała, zdenerwował się. Zmarszczył brwi.

– Nie wygłupiaj się – wstawaj!

Ellen patrzyła na niego zafascynowana, podobnie jak Mary, która najwidoczniej nie mogła się ruszyć. Clyde wściekał się tylko z tego powodu, że Mary została na podłodze, kiedy on kazał jej wstać. Zamiast więc pomóc jej, co byłoby zupełnie naturalne, zwinął sukienkę Ellen i rzucił nią w dziewczynę, o mało nie trafiając jej w twarz. Potem odwrócił się i wyszedł. Ellen w tej samej chwili podeszła do Mary.

– Nie musisz się z tym spieszyć, Mary. Szew puścił w kilku miejscach, przetrzucisz tylko kilka razy nicią i po wszystkim.

Ellen współczuła dziewczynie, którą Clyde tak źle potraktował i winiła siebie za to, co się stało. Mary stała już koło niej przesuwając wprawnymi palcami po szwie, który stał się powodem całego zdarzenia.

– Przykro mi – powiedziała Ellen.

– Chodzi o Clyde'a? Jest nerwowy, a

ostatnio stał się jakiś dziwny, od czasu kiedy – głos dziewczyny załamał się. Jej oczy, które przypominały Ellen oczy małego jelonka, widzianego dawno temu w ZOO, były niespokojne.

– On to niechący. Ja... Mnie to nie przeszkadza.

Wymamrotane cicho słowa unaocznily Ellen, jak bardzo Mary jest zakochana w Clyde'cie. To wyjaśniało, dlaczego stary ogrodnik był taki zły. Clyde też powinien lepiej orientować się w tym, co robi. Jak mógł zadawać się z prostą dziewczyną? Przez chwilę myślała nad tym, jaką radę mogłaby jej dać, ale zdecydowała, że nie ma sensu. Nawet jeżeli przyszłoby jej do głowy coś, co mogłaby powiedzieć na temat mężczyzny w rodzaju Clyde'a, Mary nie posłucha dziewczyny w swoim wieku. Najlepiej było zapomnieć o tym, że się cokolwiek widziało. Mary nie wiedziała nawet, kim jest Ellen.

– Nazywam się Ellen Marshall. Jestem sekretarką pana Hollistera, znaczy pana Paula Jeana.

– Tak, wiem, panno Marshall. Jak skończę, przyniosę pani na górę, do pokoju. Dziś wieczorem.

Dziewczyna wydawała się być w dobrym humorze, jakby nie wydarzyło się nic nieprzyjemnego. Uśmiechała się do Ellen machając ręką na pożegnanie.

Ellen w drodze powrotnej zastanawiała się, czy aby nie straciła właściwej perspektywy. Najwidoczniej dziewczynie nie zależy na tym, jak traktuje ją Clyde. To ja miałam coś przeciwko temu, a teraz wydaje mi się to dziecinne. Chwilę później uśmiechnęła się, bo zorientowała się, że zbyt mocno stawia kroki. Mech, który porastał ścieżkę, tłumił jednak wszelkie odgłosy, jak przekonała się za chwilę, kiedy silne ramię objęło jej kibić. Ellen siłą rozpędu zrobiła jeszcze dwa kroki, potem zatrzy-

mała się i ujrzała chłodne, popielate oczy Clyde'a. Spróbowała się wyrwać.

– Tylko twoją dłoń. Naprawdę masz coś przeciwko temu?

– Tak, mam.

Nie puścił jej dłoni i zaczął iść przy niej.

– Po prostu jesteś cudowna – północ, czarne, rozwiane włosy, szafirowe oczy...

– Panie Hollister – krzyknęła Ellen – niech pan nie zapomina, że jestem tu zatrudniona. Do moich obowiązków nie należy flirtowanie.

– Wiem, wiem. Któż mógł o tym nie słyszeć, ale powinnaś umieć to wykorzystać, zwiedzić świat, przeżyć nowe przygody. Im więcej tego będzie, tym lepiej zaczniesz wykonywać swą pracę.

– Wydawało mi się, że poszerzał pan właśnie horyzonty Mary Gilly – odparła Ellen.

Nie miała wcześniej zamiaru wciągać w to Mary i przestraszyła się własnych słów.

Clyde chwycił ją gwałtownie za ramiona i pochylił się, by jej zajrzeć w oczy.

– Co ci o mnie powiedziała? Czy coś mówiła? – potrząsnął nią trochę, gdy zawałała się z odpowiedzią.

– Niech mnie pan puści, panie Hollister – powiedziała Ellen z taką stanowczością w głosie, że posłuchał. – Mary Gilly nic nie mówiła o panu. Tylko te jej oczy, kiedy pan wychodził. Kocha...

– Mnie? Nonsens.

– To niesprawiedliwe, to prosta dziewczyna.

– Wszystkie kobiety mają swój instykt, jeżeli chodzi o mężczyzn, bez względu na wykształcenie. Jakie decyzje w końcu podejmują – to ich własna sprawa. – Nagle zdenerwował się – Jest mi niedobrze na myśl o Mary Gilly. Chcę porozmawiać o tobie, dobrze o tym wiesz. Starasz się mnie od siebie odstraszyć.

Przechodzili właśnie koło różanego

ogrodu, a Clyde podszedł do jednego z krzaków i zerwał czerwoną różę.

– Zaczekaj – zawołał, kiedy Ellen ruszyła dalej bez niego. Zatrzymała się. Zbliżył się i przytknął różę do swych ust.

– Moja dedykacja – powiedział z udawaną uprzejmością, podając jej kwiat. – Wiesz, że pragnę cię pocałować, ale tamtej nocy obiecałem, że nie zrobię tego wbrew twojej woli. Dopiero kiedy sama zechcesz – dodał miękko.

Lecz Ellen nie słuchała. Szła przed siebie w milczeniu. Clyde dogonił ją i szli razem, aż stanęli przed schodami wiodącymi do apartamentu Beatrice.

– Kiedy polecisz ze mną samolotem? – zapytał. – Sporo się napracowałem nad moją maszyną, ale jest wreszcie gotowa. Niech będzie jutro!

– Nie – odpowiedziała stanowczo Ellen i poszła dalej. Kiedy wchodziła do domu, usłyszała głos Beatrice dobiegający z wnętrza.



trza jej pokoju:

– Czy to ty, Clyde? Spóźniasz się.

Ellen zdziwiła się niepomieranie. Czuła słowa z ust Beatrice! Ale przecież oboje znali się bardzo dobrze mieszkając tak długo pod jednym dachem. Mimo wszystko powiedziała, że się spóźnia, więc wygląda na to, że odwiedza ją regularnie.

Paul Jean czekał już na nią, kiedy dotarła wreszcie do biblioteki. Zaczęła wyjaśniać, że szukała Mary Gilly, lecz Hollister przerwał jej.

– Sam zacząłem dosyć późno. A teraz weźmy się do Pracy, to może coś nadrobimy.

I tak też się stało. Z wyjątkiem przerwy na lunch, pracowali przez cały dzień. Dochodziła piąta, kiedy Paul Jean spojrzął na swój zegarek i powiedział do Ellen:

– I co o tym sądzisz? Czy nasza książka nada się na coś? Tylko nie próbuj mnie okłamać, bo i tak zgadnę.

– Jak może pan pytać, panie Hollister? Ta ostatnia część, którą pan podyktował... Po prostu chciałam usłyszeć więcej.

– To dobrze – poskładał papiery w jakim takim porządku i podał jej. – Powiem ci coś. Jutro popracujemy cały dzień, a pojutrze zabawimy się trochę – popłyniemy gdzieś łodzią. Kurt zadzwonił do mnie, że będzie tutaj niedługo i chce omówić ze mną pewne rzeczy. W związku z jego wyprawą.

Paul Jean spojrzał na nią uważnie: – Powiedział mi, że chce, żebyś do nas dołączyła. Co też może mieć na myśli?

– Aha, rozmawialiśmy w Nowym Jorku o poprawie warunków pracy górników. Wydaje mi się, że powiedziałam wtedy więcej, niż powinnam.

– Wręcz przeciwnie, Ellen. Z ciekawością wysłucham twoich opinii. Od pierwszego dnia, kiedy popatrzyłem na ciebie, wiedziałem, że nie jesteś jedną z tak lic-

nych bezmózgich kobiet, które tak często spotykamy.

– Mam nadzieję, że zasłużyłam na takie zaufanie – zaczęła Ellen, ale on wpadł jej w słowo.

– My, mężczyźni z rodu Hollisterów umiemy podejmować szybkie decyzje. Całą trójką wybierzemy się na „Księżniczce” i porozmawiamy bez żadnych przeszkód. Pojutrze.

## Rozdział 8

– Dzień dobry – przywitał ją Kurt opierając się o poręcz schodów.

– Dzień dobry – odpowiedziała Ellen. Ubrana była w biały kostium kąpielowy, na który zarzuciła jasnoniebieską wiatrówkę. Od czasu ich pierwszego spotkania, jej skóra nabrała ciemniejszego odcienia, jako że dość często pracowali z Paulem Jeanem w ogrodzie.

Podał jej rękę. Widać było, że jest napięty, nie uśmiechał się. Ellen nie sądziła, że będą sami, cały czas była przekonana, że będzie z nim Paul Jean. Jego opalona skóra wyraźnie odcinała się od białych spodni, koszuli a nawet jasnoczerwonego swetra, który zawiązał sobie wokół szyi.

– Filiżankę kawy? – zapytał, kiedy obok siebie szli korytarzem.

– Filiżankę kawy – zgodziła się. Czy

przez cały dzień będzie powtarzać, co powiedział Kurt? Wtedy pojawił się Paul Jean i nikt nie mógł odezwać się ani słowem.

– Czy ktoś kiedyś widział równie piękny dzień? – wykrzyknął do nich. – Jeffers, Jeffers! Masz koszyki?

– Wszystko jest w samochodzie. – Nie wiadomo skąd wychynał Jeffers.

Pojechali najpierw samochodem na przystań, a potem łodzią na szkuner. Dołączyli do nich Jerry, kierowca i młody chłopak, pomocnik kucharza, który niósł koszyki.

– Oto i ona, Ellen – miłość mojego życia. Czyż nie jest piękna? Dawny szkuner przybrzeżny, nie jakiś tam jacht. Nie ma tu żadnych cywilizowanych zabawek. Popatrz na jej żagle, na kształty – po prostu piękno wcielone.

Ellen roześmiała się serdecznie z jego pochwał, kiedy Kurt pomagał jej wejść na

pokład. Paul Jean zawsze sam prowadził „Księżniczkę”, chociaż dwaj mężczyźni, którzy stale na niej mieszkali, trzymali wszystko w pogotowiu.

Nie można sobie było wyobrazić lepszej pogody na wycieczkę statkiem – jarzące słońce, błękitne niebo z niewielkimi śladami chmur. Biała piana fal znaczyła linię brzegu, a przed nimi były tylko łagodne fale. Ellen wystawiła twarz ku świeżej, słonej bryzie i oddychała głęboko.

– Czy można pragnąć czegoś więcej? – zapytał Kurt.

– Nie – odparła Ellen. – To wszystko.

Podniosła głowę i zobaczyła, że Kurt patrzy na nią szeroko otwartymi oczyma, jakby nie mógł robić nic innego. Po chwili opamiętał się i przemówił:

– Chodźmy. Zaprowadzę cię do twojej kajuty. Moja jest naprzeciw. Zostaw tam swoje rzeczy, przecież chcesz się poopalać. – Znikł w drzwiach kabiny.

Kiedy wyszła, leżał już na górnym pokładzie w czerwonych kąpielówkach.

– Położysz się koło mnie? Tylko weź sobie poduszkę. Drewno jest tu niezwykle twarde.

Przyniosła też jedną dla niego i oboje wyciągnęli się w słońcu. Paul Jean w białych spodniach podwiniętych do kolan, z nagim, opalonym na ciemny mahoń torssem, koncentrował swoją uwagę na ukochanej łodzi.

Kurt z Ellen mieli wrażenie, że są sami we własnym świecie, w świecie słońca i morza, ciepła i szczęścia, bez względu na to, jak długo miał trwać.

Bez żadnych wstępów Kurt zaczął mówić, powoli odmierzając słowa.

– Czy jeżeli mężczyzna, który dorastał jak ja, bezpieczny, beztroski, nagle widzi, jak załamuje się porządek rzeczy, do którego był przyzwyczajony i nie wie, co robić – znaczy to, że jest słaby? Jeżeli zdaje so-

bie sprawę, że coś musi zrobić, lecz nie potrafi się do tego zmusić. Czy jest z nim coś nie tak?

– Nie – wyszeptała Ellen. – Nie.

Leżała bez ruchu z zamkniętymi oczyma chroniąc się przez blaskiem słońca. Nagle Kurt wyciągnął dłoń i poszukał po omacku jej dłoni, jakby chcąc się upewnić, czy rzeczywiście tam jest, odnalazł i uspokojony puścił.

Po chwili przemówił tak cicho, że Ellen ledwo go usłyszała:

– Ellen...

– Tak, Kurt.

– Ten człowiek nie wie, co się z nim dzieje, jakby ktoś zburzył mur, którym odgradzaj się on od rzeczywistości, dając mu szansę zobaczyć, jak wygląda życie po drugiej stronie. Ellen, on tonie. Czy potrafisz mu pomóc? – położył głowę na dłoniach, którymi objął kolana. – Och, gdybyś wiedziała...



Ellen ze ściśniętym sercem chciała powiedzieć Kurtowi, że nie powinien czuć się tak nieszczęśliwy, ale nie mogła w ogóle mówić. Jej ręka bezwolnie powędrowała ku pochylonej głowie Kurta, lecz pospiesznie ją wycofała. Nie powinna stawiać się w dwuznacznej sytuacji. Przestraszona swą śmiałością zerwała się na równe nogi i pobiegła do kajuty. Była to najzwyczajniejsza ucieczka, Ellen dobrze o tym wiedziała, ale nie miała odwagi zostać dłużej przy Kurcie. Chociaż nie wiedziała dokładnie, przed czym ucieka, instynkt okazał się silniejszy.

Opamiętanie przyszło, gdy była już sama. Dlaczego miałyby nie zostać z jedynym mężczyzną, na którym jej zależało, nie objąć go, nie pocieszyć?

Straszliwy hałas na pokładzie wywabił Ellen z kajuty. To Paul Jean walił kawałkiem metalu w dzwon pokładowy, któremu brakowało serca, poza tym na cały głos

obwieszczał porę obiadową.

– Chodźcie! Chodźcie i częstujcie się! – powtarzał bez przerwy, ciągnąc za sobą Jerry'ego z koszykami. Pieczę nad łodzią miał odtąd sprawować jeden z marynarzy.

– Siadajcie, gdzie się wam podoba. Zjemy tu, na pokładzie. Jerry, pokaż, co przyniosłeś.

Ellen obawiała się trochę powtórnego spotkania z Kurtem, lecz wszystkie jej obiekcje zniknęły w przyjacielskiej atmosferze stworzonej przez Paula Jeana. Jerry natychmiast przyniósł homara na zimno, pieczonego kurczaka i nadziewanego indyka, były także świeżo upieczone ciasteczka. Potem pobiegł gdzieś i przyniósł z powrotem dymiący dzban kawy i gorący sos. Dając dobry przykład Paul Jean zanurzał wielkie kawałki homara w sosie i jadł z apetytem.

– Za mną, do jedzenia! – rozbrzmiewało żartobliwe nawoływanie. Jego dobry hu-

mor był zaraźliwy i wkrótce nie było nikogo na pokładzie, kto nie roześmiałby się chociaż raz. Jednak nim doszli do deseru, Paul Jean spowaźniał.

– A teraz powiedz mi coś o wyjeździe do Chicago i dlaczego Ellen tak popiera twoje plany?

Kurt zaczął opisywać propozycje zmian dyrektora administracyjnego kopalni.

– No cóż, Kurt. To porządny człowiek. Daj mu wszystko, czego chce.

Potem odwrócił się do dziewczyny: – A ty, Ellen, czego chciałabyś dla nich? Chcesz mi wszystkich mężczyzn pozamieniać w nierobów? Nie zgodzę się nigdy.

– Chodzi mi tylko o takie rzeczy, które mogą z nich uczynić lepszych pracowników – zaprotestowała gorąco Ellen. – Krótsze godziny pracy, żeby mogli spędzać więcej czasu z rodzinami. Potem place zabaw dla dzieci. Kurt opowiadał mi, że większość osad górniczych jest położona

daleko od większych miast, więc ci ludzie nie mają okazji korzystać z żadnych dobrodziejstw cywilizacji, na koniec, ale to też bardzo ważne, byłyby ośrodki zdrowia i towarzystwa ubezpieczeń.

– No, no...

Paul Jean wstał i zaczął spacerować po pokładzie.

– Dla tych ludzi, panie Hollister, pan jest najwyższym autorytetem. Mają tylko to, na co pan im pozwoli, ich szczęście, ich całe życie zależy od pana. Wiem, że ich pan nie zaniedbuje, ale jest tyle sposobów poprawy ich życia...

– Niech mnie kule biją, Ellen. – Paul Jean odwrócił się do Kurta: – Słyszałeś to, Kurt? – Żartobliwie zamachnął się na niego: – Popatrz, nazywa mnie starym osłem i, na Boga, ma rację!

Wziął Ellen za rękę i poprosił by, usiadła.

– Posłuchajcie mnie oboje. To co powie-

działała Ellen, dało mi wiele do myślenia, a kiedy myślę, to działałam. Pojadę do Kalifornii zobaczyć kopalnie, a Ellen pojedzie ze mną. Kiedy ktoś jest w stanie wstawić się za ludźmi, których wcześniej nie widział, powinien mieć okazję przyjrzeć im się z bliska.

– Ależ Paul, przecież nie byłeś tam od przeszło trzech lat. Nie sądzisz, że ja powinienem pojechać? Przywiózłbym ci raport na temat tego, co zaproponowała Ellen.

– Dziękuję, Kurt, ale nigdy nie czułem się lepiej niż teraz. Stary doktor Harrison zrobił dobrą robotę – mówił z oczyma utkwionymi w horyzont: – Kurt, tęsknię za widokiem moich kopalń.

– Może więc będę ci towarzyszył – zaproponował Kurt.

– Nie, doskonale dam sobie radę sam, jeździłem tam sam ze sto razy. Zdecydowałem się, a Ellen pojedzie ze mną.

Kurt wiedział, że nie było sensu spierać

się z Paulem Jeanem, kiedy ten podjął decyzję.

– Kiedy się wybierasz? – zapytał.

– Olivette urządza przyjęcie za tydzień, a ja jej obiecałem, że będę na nim. Zaraz po nim. Dopilnujesz rezerwacji?

– A ty, Ellen? – Kurt odwrócił się do niej: – Pojedziesz?

– Jestem zachwycona, będę mogła się tak wiele nauczyć. Pomogłoby to też w pracy nad książką. – Jednak ton jej głosu zdradzał, że nie chciałyby opuszczać Kurta na tak długo.

– Wracam do steru, a wy chodźcie, żebyśmy sobie mogli dalej pogawędzić. Paul Jean wstał i uśmiechnął się do nich. Ellen nigdy nie widziała takiej radości na jego twarzy. Tak, przez całe miesiące chciał odwiedzić kopalnię, a ona poddała mu pretekst. Jego postać pobudzała wyobraźnię, a w tej chwili wyglądał znowu młodo, w pełni sił. Nic dziwnego, że ludzie szli ślepo

za jego przykładem.

Paul Jean mówił Kurtowi, co ten powinien robić podczas jego nieobecności. Ellen cieszyła się, że nie musi nic mówić. Odsunęła się trochę na bok, by bez przeszkód móc pomyśleć o Kurcie. Odkryła, że to, co stało się przed chwilą, wstrząsnęło nią bardziej, niż przypuszczała. Była szczęśliwa. Nie chciała myśleć o przyszłości. Wystarczyło jej tak, jak jest. Zastanawiała się nad szlachetną postawą Kurta wobec Beatrice, która, jak jej się wydawało, naigrawała się z ich związku. Ellen wiedziała, że są to tylko domysły, ale cóż innego mógł mieć na myśli Kurt? Beatrice trzyma się go kurczowo, z niewiadomych powodów nie pozwalając na normalne życie. Wykorzystywała uczciwość Kurta do ostatnich granic wiedząc, że podporządkuje się życzeniom swej żony.

Ellen słuchała głosu Kurta, cieszyła się, że jest tak blisko człowieka, któremu ufa,

którego podziwia i którego kocha – tak kocha. Cieszyła się na samą myśl o nowoodkrytym uczuciu.

Nagle zdała sobie sprawę, że ktoś do niej krzyczy. Był to Paul Jean, którego prawie nie mogła usłyszeć przez wycie wiatru.

– Zawracamy, Ellen. Spróbujemy uciec przed sztormem.

Rzeczywiście. Niebo pociemniało nagle od strony północno-wschodniej, a oni zmierzali w stronę czegoś, co wyglądało jak ciemna ściana, która za moment zaczęła walić w łódź tonami wody. Poczowała jak silne, pewne dłonie ubierają jej nieprzemakalny płaszcz i zapinają sztruksowy kołnierz pod szyją. Przysunął swą twarz do niej, by go mogła usłyszeć:

– Nie bój się, jakoś to przetrwamy.

Potężna fala przewalając się przez pokład jak gigantyczny wodospad, połknęła dźwięk jego głosu. Kurt objął Ellen nie



chcąc, by się przewróciła. W tej samej chwili niebo rozdarła błyskawica, a łoskot piorunu dołączył się do huku fal. Przytulili się bliżej do siebie. Patrzyła na niego szeroko otwartymi ze strachu oczyma – bała się o niego. Osłonił ją swym ciałem.

– Będziesz uważał? Obiecuj, że będziesz uważał – wyszeptała. Trzymał ją tak blisko, że jej usta poruszały się po jego policzku. Nie chciała dać mu poznać, że zakochała się w nim, gdyby nie burza, nigdy by się to nie zdarzyło.

Deszcz nie padał, ale nie robiło to żadnej różnicy, bo fale uderzające w łódź wzbijały wysoko krople wody. Znaleźli się w dziwnej poświacie, a pomiędzy gwałtownymi uderzeniami wichru powietrze wydawało się duszne i gorące. Nie widzieli siebie zbyt dokładnie, ale tylko tuląc się do siebie mogli zachować równowagę. Kurt delikatnie podniósł jej głowę i pocałował pomiędzy słonymi kroplami wody.

– Nie mogłem się oprzeć – powiedział ochryple, potem dodał: – Wszystko będzie w porządku.

Objąwszy ją mocniej ramieniem poprowadził ją ku drzwiom kabiny, które waliły o ścianę jak oszalałe i wepchnął Ellen do środka.

– Zasuń zasuwę i zostań tu.

Wszystko stało się tak szybko – sztorm, przerażenie, że Kurtowi coś się stanie, i pocałunek. Ellen usiadła na koi. Kurt mnie pocałował, myślała.

Siedziała tam zaskoczona. To nie powinno się było wydarzyć. Czy będzie musiała odejść z Hollister House? Jak będzie się zachowywać Kurt? Po chwili przypomniała sobie wyprawę do Kalifornii. Za tydzień wyjadą i nie będzie ich miesiąc, może sześć tygodni. Poczwała, jak wzbiera w niej wdzięczność dla Paula Jeana. Zna go przecież od tak niedawna, a tyle mu już zawdzięcza.

Trudno było jej pozbierać spłoszone myśli, wreszcie poddała się dojmującemu uczuciu szczęścia. Wydawało jej się, że widzi błyszczące światła jakby tysiący drogich kamieni. Pomyślała – czy przypadkiem nie tracę zmysłów? Nie, przecież kocham Kurta, a on kocha mnie. Tylko to się liczy, dlatego tak się czuję.

Cieszyła się, że nie padło ani jedno słowo o miłości. Po takim pocałunku życie bez Kurta straciłoby dla niej znaczenie.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, tak że Ellen wydawało się, że drzwi wylecą z futryn. Dobiegł ją tubalny głos Paula Jeana: – Jeszcze się trzymamy, Ellen! Możesz już do nas wyjść.

Ellen wyjrzała. Niebo od strony zachodniej zabarwiło się płomienną mieszaniną złota i czerwieni. Płynęli w przeciwnym kierunku, do domu.

Świateł jeszcze nie włączono, więc kiedy Ellen wchodziła po schodach było dość

ciemno i musiała trzymać się poręczy, by nie upaść. Muszę się wziąć w garść, pomyślała. Podniosła nogę do następnego kroku, który jednak trafił na tę samą wysokość, gdyż była już na górze.

– Och! – wyrwało jej się.

Miała na sobie sportowe buty na gumowej podeszwie, więc całą drogę po schodach odbyła bardzo cicho. Teraz, po jej okrzyku – wydawało jej się, że po drugiej stronie korytarza poruszyły się dwie sylwetki – jedna ubrana na biało, a druga na czarno, obejmujące się ciasno. Czy to możliwe, że mężczyzną był Clyde, a kobietą Beatrice? Nie była pewna.

Zatrzymała się, by móc się lepiej zorientować. Po chwili z ciemności wyszedł ku niej ubrany na biało mężczyzna – Clyde. Ellen rozpaczliwie szukała drogi ucieczki, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. On zaś zbliżał się z uśmiechem na ustach.

– Tak wcześnie wróciłaś do domu, anie-

le?

Z tyłu za nim jakiś cień przesunął się do drzwi i Ellen mimo padającego deszczu usłyszała wyraźnie stuk zamykanych drzwi.

– Zaświećmy światło – powiedział Clyde. – Właśnie przechodziłem tu, by sprawdzić, czy wszystkie okna są pozamykane. Deszcz zerwał się tak nagle, że służba nie miała czasu zajrzeć wszędzie.

Ellen nie odezwała się.

– Kiedy przyjdzie moja kolej na randkę z tobą, o piękna? – Potem dodał bezczelnie: – Czy wszyscy inni mają pierwszeństwo przede mną?

Przez chwilę Ellen zdenerwowała się, ale potem ogarnął ją spokój. Awantura nic by nie dała. Clyde miał po prostu taki sposób bycia, a bezczelność była jedną z cech charakteru, nawet dość pociągającą. Uśmiechnął się w swój szczególny sposób, który miał na celu przełamać nieufność.

– Mówiłam panu wiele razy, że pracuję, nie przyjechałam tu na wakacje. Nie umawiałam się dzisiaj z nikim. Jak zwykle wszystko miało związek z interesami. – Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo mija się z prawdą i zaczerwieniła się.

Clyde bezceremonialnie objął ją i przyciągnął blisko do siebie, wydawało się, że nie interesuje go, czy czasem nie robi krzywdy Ellen. Nie wytrzymała. Z rozmachem uderzyła go dłonią w twarz. Uśmiech znikł mu z twarzy i Clyde puścił ją.

– Czy musiałaś to zrobić?

Gdy Ellen próbowała minąć go bez słowa, zastawił jej drogę i powtórzył pytanie.

Dziewczyna bliska łez zacisnęła zęby i wycedziła:

– Zamknij się Clyde Hollister!

Clyde natychmiast usunął jej się z drogi, lecz na pożegnanie powiedział groźnie:

– Zrobiłaś wielki błąd, mój odważny aniele.

Z głową uniesioną wysoko do góry przeszła powoli do swego pokoju, weszła i zamknęła się od środka. Jak on śmiał jej dotknąć! Zdała sobie sprawę, że sama jest sobie winna pozwoliwszy mu na zwierzenia przy świetle księżyca, ale wydawał się jej wtedy taki szczerzy, taki zagubiony. Od tego czasu widziała go z Mary Gilly, która prawie że jej wyznała, że jest w nim zakochana. Potem w ciemnym korytarzu... Dałaby głowę, że była to żona Kurta, Beatrice. Czy właśnie ona była powodem, dla którego Clyde wracał do Hollister House? Ellen przypomniała sobie, że tego wieczora, kiedy przyjechała, Beatrice zeszła na dół w towarzystwie Clyde'a. A gdy wracali wieczorem z ogrodu, Clyde rozstał się z nią przy wejściu do apartamentu Beatrice.

Nawet kiedy położyła się już do łóżka, czuła, że nie potrafi zebrać myśli. Było tak wiele rzeczy, których nie potrafiła zrozumieć, które nie powinny jej interesować,

chyba że mogły sprowadzić nieszczęście na Kurta. Gdyby tak on wychodząc po schodach zastał ich oboje przy oknie... Jaki dziwny człowiek z tego Clyde'a.

A Beatrice? Ubierająca się na czarno, smutna, rozhisteryzowana – czy jej serce nie płonęło pod lodową maską dla kogoś, kto nie był jej mężem? Czy Ellen po prostu dawała się ponieść wyobraźni na temat Hollister House?

Na zewnątrz wiatr rozszalał się na dobre miotając deszczem w okna jej pokoju. Przy innej okazji Ellen wstałaby, żeby przyjrzeć się wzburzonemu morzu, lecz na dzisiaj miała dość jego dzikiej furii.

Dźwięk kropli przeradzał się powoli w jej uszach w dudnienie bębnow, które nie ustawały ani na chwilę. Potrząsnęła głową. Gdyby nie była tak zmęczona, wstałaby i próbowała zrobić z nimi porządek, zniszczyć je...

Zasnęła z zaciśniętymi pięściami.



## Rozdział 9

Ellen usłyszała głosy pod swym oknem. Podniosła się i spojrzała na zegarek – dochodziła siódma – dzień już wstał, chyba więc mimo wszystko zasnęła. Jeden głos wybijał się ponad wszystkie – ciotki Olivette. Coś musiało się stać, narzuciła na siebie szlafrok i podbiegła do okna.

Nocna burza spowodowała znaczne szkody w ogrodzie – miejscami wyglądał tak, jakby go zaorano, kilka różanych krzaków Olivette zostało powalonych, a wiele innych kwiatów leżało bezwładnie na ziemi w błotnistych kałużach. W środku całego zamieszania stała ciotka Olivette wykrzykując polecenia do starego Dominika i kilku jego pomocników i wymachując swą okutą srebrem laską, która czasami lądowała w dołku wykopanym dla jakiejś rośliny, czasem zaś na grzbiecie opieszających

pomocników, którym nie wydawało się to przeszkadzać.

– O Boże, dlaczego jej się tak spieszy? – zastanawiała się Ellen. Otworzyła drzwi i wyszła na balkon, gdzie natychmiast wypatrzyła ją ciotka Olivette.

– Ellen, chodź nam pomóc! Musimy z powrotem wsadzić krzaki do ziemi, zanim zrobi się gorąco. – O mój biedny ogród – jęknęła i odwróciła się ku ogrodnikom. Ellen zarzuciła na siebie sweter i spodnie. Wspaniale, pomyślała, wyjść na powietrze i popracować w ogrodzie. Nigdy bardziej nie cieszyłam się na myśl o ciężkiej pracy. Gdy wyszła, ciotka Olivette nadal jęczała nad losem swego ogrodu.

– Ocalimy was, każdy najmniejszy kwiatuszek.

Ellen uklękła i dołączyła do pracujących. Kopali dołki, przesadzali, grabili połamane gałęzie i opadłe liście. Ellen cieszyła się, że może coś zrobić dla ciotki

Olivette.

Po jakimś czasie ogród odzyskał dawny kształt, więc ciotka zarządziła, że czas na śniadanie.

– Umyjemy ręce pod hydrantem, poza tym i tak od dawna chciałam z tobą porozmawiać.

Śmiejąc się jak małe dzieci bawiły się węzłem ogrodniczym, a kiedy skończyły, Olivette wysłała jednego z mężczyzn do domu, by przyniósł kawę i kanapki.

Usiadły obie pod dzikim winem rozkoszując się zapachem ogrodu.

– Oddychaj głęboko, Ellen. Czyż nie podoba ci się zapach lata? Świeżo skoszona trawa, ciepłe słońce, ziemia – wszystko w moim ogrodzie. – Olivette odchyliła głowę na poduszkę fotela i zamknęła oczy. Przynajmniej raz nieodłączna laska leżała bez ruchu na trawie.

– Ciekawe, jak bardzo zapachy odświeżają wspomnienia... Myślałam właśnie o

dniu, kiedy Kurt się ożenił. Moje żółte lilie właśnie zakwitły, jak teraz. Całe ich naręcza posyłałam Beatrice, bardzo lubiła żółty kolor. Tak było osiem lat temu. Od tego czasu zdążyłam zniechęcić ten kolor.

Ellen słuchała zafascynowana. Po co Olivette mówiła jej to wszystko? Nigdy przedtem nie wspominała przy niej o sprawach rodzinnych.

Nagle dama wyprostowała się i pochyliła nad fotelem Ellen.

– Nienawidzę Beatrice – wyszeptała.

Ellen patrzyła prosto w błyszczące gniewem oczy Olivette.

– Z powodu życia jakie prowadzi, z powodu Kurta. Nigdy jej nie lubiłam, nawet jako dziecka, choć jest jedyną córką mojej najlepszej przyjaciółki.

Na ścieżce pojawił się Jeffers z kawą, kanapkami i marmoladą. Olivette zaczekała, aż ułoży wszystko na stole. Kiedy skończył, Olivette mówiła dalej:

– Próbowałam ją polubić, naprawdę bardzo się starałam. Ale niech mi Bóg wybaczy, nie mogłam. Kiedy pewnego dnia Kurt oznajmił, że się z nią zaręczył, wprost nie mogłam w to uwierzyć. Jakakolwiek inna dziewczyna! Paul Jean zaproponował im, by tu zamieszkali i tak też się stało. Kurt wiele wyjeżdżał, dużo czasu spędzał w Kalifornii, w kopalniach i za granicą. Wydawało się, że chce od tego wszystkiego uciec. A Beatrice przyjmowała gości w swym apartamencie – samochody przyjeżdżały i odjeżdżały przez cały czas. Większość z nich, jak mi się wydaje, stanowili mężczyźni. Musieliśmy zwolnić jednego, dość przystojnego ogrodnika, Dominik mówił, że nigdy go nie ma pod ręką. Potem Clyde... Nikt Kurtowi nie mówił o tym, co się działo. On i Beatrice po prostu stopniowo oddalali się od siebie. Jednego jestem pewna – w ich małżeństwie nigdy nie było czegoś, na czym oboje mogliby

budować.

– Potem urodziło się dziecko, ale nie żyło długo. Od tej chwili Beatrice twierdziła, że jest chora. Na Kurta albo nie zwracała uwagi, albo robiła mu awantury. Nie mogła wytrzymać z żadnym z nas. Wreszcie zaczęła się zamykać w swoich pokojach na całe tygodnie. Ale nie była samotna, odwiedzało ją wielu mężczyzn. Służba nie mogła jej znieść, wszyscy bali się jak ognia przydzielenia do niej. Potem kilka lat spędziła na podróżach po znanych klinikach i lekarzach, jak to się mówiło – na konsultacje. Chyba Kurt mówił sobie w duchu, że to wszystko minie, że Beatrice znów będzie normalna. On też musiał mieszkać osobno, skoro żona na sam jego widok dostawała ataków.

Nagle Olivette wstała.

– Tak się przedstawia sprawa Kurta – do dzisiaj. Nie pytaj mnie, dlaczego ci powiedziałam, bo sama nie wiem.

Obie wstały i poszły w stronę domu.

– Polubiłam cię, Ellen, dlatego chciałam ci coś podarować. Chodź ze mną, pokażę ci. Kiedy ostatni raz byłam u mojego krawca, zamówiłam dla ciebie suknię na przyjęcie, które wydaję we wtorek. Pójdziemy teraz do mnie i przymierzysz, jak na tobie wygląda.

Pokojówka wyciągnęła z szafy schowaną w celofanowy worek suknię i położyła na łóżku.

– Nie bój się, otwórz – ponagliła Olivette.

Ellen ostrożnie wyciągnęła suknię z opakowania. Była przypięta do wieszaka dwoma spinaczami, bowiem nie miała ramiączek.

– Pospiesz się, nie mogę się doczekać, żeby cię w niej ujrzeć. Pomóż jej, Delio.

Przebrawszy się, Ellen spojrzała na siebie w lustrze i oniemiała. Od wyciętego kształtu serca dekoltu biegły fale białego

szyfonu. Nie było na niej żadnych ozdób – po prostu biel, a na jej tle opalone ciało Ellen.

– To się nazywa prostota w wykonaniu mistrza – skomentowała Olivette obracając Ellen dookoła i podnosząc lekki biały materiał.

– Ani jednej perełki, ani jednej ozdoby. Czy nie podoba ci się, jak leży bez ramiączek?

– Olivette, co mogę powiedzieć? Dlaczego zrobiłaś mi taki prezent?

– Cieszę się, że zrobisz z niej dobry użytek – odsunęła się na chwilę. Gdybym miała córkę, Ellen, chciałabym, żeby wyglądała dokładnie tak jak ty.

Olivette najwidoczniej chciała ukryć wzruszenie i nie zauważyła wyciągniętej ręki dziewczyny.

– Weź ją teraz do Mary Gilly, żeby podniosła trochę szew z lewej strony – niezbyt równo się układa, dobrze?



Ellen czuła, że łzy cisną jej się do oczu, lecz udało się jej powstrzymać od płaczu. Wzięła sweter i spodnie i wyszła z pokoju. Kiedy znalazła się na korytarzu, usłyszała, jak otwierają się drzwi biblioteki, a Kurt biegnie po schodach na górę. Nagle zauważył ją i przystanął.

– Och, Ellen – wyszeptał i zrobił kilka kroków w jej kierunku.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Jak ci pięknie w tej sukni... – potem olbrzymim wysiłkiem woli, chcąc by zabrzmiało to normalnie, zapytał: – Na przyjęcie ciotki Olivette?

Ellen skinęła głową, po czym pokazując mu spodnie i sweter, wyjaśniła: – Tak sobie to wszystko noszę, zanim się nie przyzwyczaję do tej wspaniałej sukni, żebym wiedziała, że to wciąż ja.

Odwróciła się i pobiegła do swojego pokoju. Kiedy otwierała drzwi, kątem oka dostrzegła, że Kurt nie ruszył się z miejsca

i dalej spogląda w jej stronę.

Po południu, gdy pokojówka zapukała do drzwi Ellen i oznajmiła, że czeka na nią na dole pani Mabilla Marshall, nie bardzo ją to zaskoczyło.

– Niech przyjdzie do mnie – powiedziała zrezygnowana. Ubrała się z powrotem w zwykłą sukienkę, którą miała właśnie zamiar odłożyć na bok i zdecydowała, że zje z nią obiad na górze. Co innego mogę zrobić? Powiedzieć w kuchni, żeby nakryli na jeszcze jedną osobę? Dodać, że macocha sekretarki Paula Jeana właśnie nieoczekiwanie przybyła i trzeba się nią zająć?

Chwilę później czerwone włosy Mabilli przypomniały Ellen osobę. Mabilla udawała, że jest zachwycona wystrojem domu.

– To naprawdę ty, Ellen! – wykrzyknęła.  
– W pierwszej chwili nie wiedziałam, czy mogę wejść, tak tu pięknie.

– Jak się masz? – odparła Ellen, próbując ukryć wrogość: – Nie pisałaś do mnie,

że zamierzasz przyjechać...

– Nie, zrobiłam to pod natchnieniem chwili. Znasz mnie, zawsze byłam impulsywna. Bob mówił, że kiedyś czegoś pożałuję.

Ellen ukłuło w sercu wspomnienie ojca. Zamierzała zaprosić Mabilłę, by usiadła, lecz ona leżała już rozparta na sofie.

– Co słychać u ciotki Margaret?

– Ucieszyła się, że odjeżdżam – powiedziała Mabilła otwarcie.

– Ale... – zaczęła Ellen.

– Nie ma żadnego ale. Nie zamierzam się tam dłużej kręcić.

– Myślałam, że masz zamiar pomóc jej w wydawaniu pieniędzy. – Ellen nie mogła się powstrzymać, by nie zacytować Mabilli, której bynajmniej nie zbiła tym z tropu.

– Twoja ciotka to diabeł wcielony – roześmiała się. – Kazała mi usługiwać dzieciakom, jakbym nigdy w życiu niczego innego nie robiła. Co więcej, zaczynało mi

się to podobać, więc w pewnej chwili powiedziałam sobie: – Mabillo, to nie miejsce dla ciebie. Zanim się opamiętasz, będziesz nosić spodnie i sypiać w stajni jak ciotka Margaret. A ja nie znalazłam się jeszcze w wieku, w którym miałabym ochotę to robić! – Potem rozgadała się o kierowcy autobusu, niejakim Billu, z którym rozmowy przytaczała prawie bez żadnych skrótów, co chwilę wybuchając dziwnym śmiechem. Ellen przerwała jej na chwilę dzwoniąc do kuchni wewnętrzną linią domową. Poprosiła o kolację dla dwóch osób do swego pokoju. Mabilla zmrużyła oczy przysłuchując się temu, po czym odzyskała dobry humor i trajkotała jak zwykle.

Ellen powiedziała jej, że kazała zanieść jej walizkę do pokoju gościnnego.

– Walizkę? – krzyknęła Mabilla – Mam z sobą dwie skrzynie. Dobranoc, kochana, muszę lecieć!

Ellen z westchnieniem pomyślała, że będzie musiała wyjechać z Hollister House. Nie może przecież oczekiwać, że jej pracodawca zechce traktować Mabilłę jak członka rodziny.

Szacunek Mabilli dla Ellen wzrósł niepomrotnie, kiedy wypytawszy dokładnie dziewczynę zorientowała się, że w domu było dwóch kawalerów na wydaniu. Oto mała Ellen, która nigdy nie zdawała sobie sprawy z własnej urody i z tego, co można nią osiągnąć, znalazła się nagle wśród ze wszech miar godnych polecenia mężczyzn stanu wolnego. Clyde nie wydawał się mieć stałej towarzyszki życia, podobnie jak Paul Jean, starszy, lecz wciąż przystojny właściciel tego jakże luksusowego domu. Ten ostatni zaczął ją intrygować na tyle, że zapomniała o Ellen i zajęła się własnymi kłopotami. Poniekąd trudno się jej dziwić, że zaprzętała sobie głowę głównie sobą, bo wiele zależało od tego, czy uda jej

się na stałe zadomowić w Hollister House, a Paul Jean nasuwał się tu jako oczywiste rozwiązanie.

Na śniadanie Mabilla ubrała się bardzo uważnie. Z jej garderoby najlepiej do wywarcia odpowiedniego wrażenia nadawał się satynowy kostium koloru orchidei. Do jadalni zeszła o godzinie dziesiątej, sądziła bowiem, że o tej godzinie najpewniej spotka Paula Jeana, a jeżeli nie, zawsze może na niego poczekać.

Była więc bardzo rozczarowana, że przy stole siedzi tylko jedna, szczupła kobieta o niezbyt przyjaznym wyrazie twarzy.

– Jestem Mabilla – zaszczębiotała przy-  
milnie. – Matka Ellen.

– Ellen? – zdziwiła się kobieta, jakby nigdy dotąd nie słyszała takiego imienia.

– Wie pani, Ellen Marshall, nowa sekretarka pana Paula Jeana Hollistera. A może pani tu nie mieszka? – zapytała Mabilla.

– Mieszkam – odparła zimno kobieta.

Mabilla zaniemówiła na chwilę. Nie wiadomo skąd pojawiła się nagle służąca:

– Tak, pani Hollister?

– Nalej mi kawy.

Mabilla wyciągnęła do niej rękę w geście przeprosin: – Proszę wybaczyć, pani Hollister. Nie wiedziałam.

Beatrice zachowywała się, jakby nie zauważyła dłoni, więc Mabilla szybko przeobraziła niefortunny gest w ruch bardziej neutralny i poczęstowała się śliwką.

Służąca wróciła z kawą i zaczęła przedstawiać Beatrice menu.

– Macie państwo, jak widzę, wszystkie najnowsze urządzenia elektryczne – nie dawała za wygraną Mabilla. – Bardzo ułatwiają pracę w kuchni i pozwalają służbie robić więcej w krótszym czasie, prawda?

– Co robi służba, nie obchodzi mnie – brzmiała reakcja Beatrice.

– Aha – Mabilla była zaskoczona. – Z pewnością zatrudnia pani kogoś do prowadze-

nia domu.

– Czy naprawdę musimy rozmawiać na temat prowadzenia domu? – Wybuchła zdenerwowana Beatrice. Spojrzała w stronę korytarza, jakby oczekując gościa. Mabilla miała wrażenie, że stała się niewidzialna, bo od tej chwili pani Hollister nawet nie spojrzała w jej stronę.

Po jej wyjściu Mabilla naląła sobie następną filiżankę kawy. Zdawała sobie sprawę, że popełniła zasadniczą gafę i nie bardzo wiedziała, jak ją ma naprawić. Podziwiała tylko zdolności adaptacyjne Ellen, która codziennie musiała jadać śniadanie w takim towarzystwie.

Nie było w jej stylu martwić się zbyt długo. Wrzuciła kostkę cukru do kawy i po chwili namysłu posmarowała jeszcze jedną kromkę chleba grubą warstwą marmolady. W tej chwili do jadalni wszedł Clyde i popatrzył na nią zdziwionym wzrokiem. Mabilla poczuła się winna:



– Nie zawsze sobie aż tak dogadzam – wyjaśniła. – Ostatnio przechodziłam dość ostrą dietę.

– Żyj i pozwól żyć – oto moja dewiza życiowa – powiedział z uśmiechem Clyde.

– Jadła pani śniadanie bez towarzystwa? – zapytał przyglądając się uważnie potrawom wyłożonym na stole.

– Nie, pani Hollister właśnie wyszła – odczekała chwilę, a kiedy Clyde nie zareagował, dodała z odcieniem wesołości w głosie. – Przyszedł pan później niż ja.

– Zjadłem dziś śniadanie wcześniej rano, ale musiałem wrócić do domu, a do lunchu zostało sporo czasu, więc radzę sobie, jak mogę.

– Ależ proszę, mnie pan w niczym nie przeszkadza – Mabilla nie mogła się oprzeć. – Może kawy?

– Bardzo proszę – podziękował Clyde. – Czy kiedy wszedłem, aż tak mnie się pani przestraszyła?

– Nie miał pan chyba zamiaru urwać mi głowy – powiedziała Mabilla podając mu kawę. – Myślał pan o czymś innym.

Clyde uśmiechnął się: – Może więc zaczniemy od początku? Jestem Clyde Holister.

– Jestem matką Ellen – Mabilla prze-rwała, oczekując okrzyku zaskoczenia. Lecz Clyde zdobył się jedynie na zdawkowe. – Bardzo mi miło.

– Właściwie macochą – sprostowała.

– Ellen zapewne bardzo się cieszy, że pani ją tu odwiedziła. – Ton głosu Clyde'a nie zdradzał żadnych emocji.

Nadęty pyszałek, pomyślała Mabilla.

– Przyjechała pani z daleka?

– Dość. Z Westchester.

Clyde roześmiał się. – Pani wybaczy, ale mam dużo pracy.

Mabilla przyjrzała się odchodzącemu z niesmakiem. Widziałam już wielu takich, pomyślała nie próbując bynajmniej bliżej

określić owych takich. Po prostu nie czuła do niego sympatii, podobnie jak do innych mężczyzn, na których nie robiła piorunującego wrażenia. Jak na razie nie wydawała się odgrywać najlepiej roli macochy Ellen. Strój koloru orchidei nie spełnił zadania, trzeba więc było go zastąpić czymś spokojniejszym. Gdy znowu znalazła się na dole, miała na sobie niebieską bawełnianą sukienkę i żakiet, pocieszając się, że zawsze można go było ściągnąć, a sukienka nie miała rękawów i bardzo nisko wycięte plecy.

Wypadało jej teraz udać się na poszukiwanie Ellen i zainteresować się, na czym polega jej praca, była przecież jej matką. Uzbrojona w takie postanowienie zapytała przechodzącej pokojówki o bibliotekę i po chwili wahania zarzuciła sobie niedbale żakiet na ramiona, uśmiechnęła szeroko, zapukała i weszła. W środku nie było nikogo. Sprawdziła wszystkie drzwi w pobliżu

z podobnym skutkiem, aż wreszcie podejrzliwie przyglądająca się jej poczynaniom pokojówka wypłoszyła ją na taras, skąd rozciągał się widok na różany ogród ciotki Olivette. Stała tam przez chwilę, lecz obawiając się silnego słońca, które mogło przyprowadzić ją o łuszczenie skóry na nosie, odważyła się zapuścić głębiej w ogród. Nagle usłyszała donośny głos Paula Jeana. Przy nadarżającej się sposobności wychynęła zza krzaka:

– Tu jesteś! – krzyknęła. – W całym domu nie ma żywej duszy.

Ellen wzdrygnęła się na dźwięk jej głosu, zaś Paul Jean wstając upuścił na ziemię cały stos luźnych kartek z notatkami. Podmuch wiatru zawirował nimi w powietrzu i zaczął unosić w stronę klombów.

– Och, to moja wina! – Mabilla schyliła się w tym samym momencie co Paul Jean i ich głowy się zderzyły. Paul Jean wyprostował się, potem skłonił Mabilli.

– Przepraszam panią, pani pozwoli.

– Nie! Muszę panu pomóc, to wszystko moja wina.

Ruszyła w pogoń za papierami tak gorliwie, że zachęciła tym parę owczarków, które Flossie właśnie prowadziła ze spaceru, do włączenia się do zabawy. Jeden z nich chwycił w zęby kartkę, którą udało się Mabilli ocalić.

– Puszczaj! – krzyknęła Flossie w ułamku sekundy zdając sobie sprawę z rozmiarów katastrofy. – Puść to, ty idiotko!

W tej chwili pies wyrwał jej z ręki kartkę i zdążył zupełnie zniszczyć, nim Flossie bijąc go dłonią po nosie zmusiła do jej wypuszczenia.

– Drogi Paul! Czy to było coś bardzo ważnego? – Flossie rzuciła mu się w ramiona. Ten pogładził ją po głowie, ale odsunął stanowczo na bok.

– Nic ważnego. Właśnie ją przeczytałem i mogę podyktować z pamięci, jeżeli pozwolicie mnie i Ellen pracować.

– Wyrzuca nas – powiedziała Flossie radośnie. – Lepiej stąd znikajmy. Chodź, Wisty! Maggy! – pobięła za psami w stronę domu. Mabilla zawahała się. Ellen czuła, że popełnia błąd nie przedstawiając swej macochy Paulowi Jeanowi, lecz po tym, co się stało nie mogła tak po prostu powiedzieć: To jest... Na szczęście Mabilla potrafiła się znaleźć i w pośpiechu czmychnęła do domu.

## Rozdział 10

W dniu przyjęcia, które wydawała ciotka Olivette, Ellen wahała się długo, czy ma zejść na dół. Oprawa całej uroczystości przerastała jej oczekiwania. Z okien swego apartamentu widziała ogród oświetlony jasno jak w południe wielkimi reflektorami i nieprzerwany strumień samochodów podjeżdżających pod główne wejście.

Ellen była wdzięczna Mabilli, że wymknęła się do Nowego Jorku poprzedniego dnia i nic nie zapowiadało, że w najbliższym czasie znów będzie ją niepokoić. Zorientowała się, że po raz pierwszy czuje coś takiego w stosunku do swej macochy.

Wreszcie rzuciwszy ostatnie spojrzenie w lustro wyszła z uśmiechem na korytarz. Całe pierwsze piętro pełne było ludzi. Poprzedniego dnia wraz z ciotką Olivette przeglądały listę gości, i choć Ellen nie знаła nikogo z nazwiska, wiedziała, że zaproszonych zostało wielu sławnych ludzi, zwłaszcza muzyków. Zaskoczyło ją, że było tak wielu młodych ludzi, prawdopodobnie przebywających w domu na wakacjach. Skierowała się do sali balowej, którą otwierano wyłącznie na takie okazje. Po drodze minęła jadalnię, gdzie nakrywano właśnie do kolacji. Trzy poziomowe stoły rozstawione przy ścianach, zwieńczone były gigantycznymi łabędziami z ciasta. Gdy podeszło się bliżej, trudno się było zorientować, jak co smakuje, gdyż wszystkie potrawy miały kształt kwiatów, ptaków lub okrętów.

Wreszcie dotarła do samej sali balowej, która była bez wątpienia najpiękniejszym



pomieszczeniem w całym domu. Wysoka na dwa piętra z witrażami sięgającymi sufitu, wyglądała iście po królewsku. Z sufitu zwisały draperie z lekkiego białego materiału, a leciutki wiatr od strony otwartych okien poruszał nimi sprawiając wrażenie, że pada śnieg. Światło z olbrzymich kryształowych kandelabrow odbijało się feerią barw na ścianach.

Orkiestra, ubrana w białe fraki ze złotymi guzikami i wyłogami, grała właśnie jakiś walc Straussa. Po drugiej stronie Ellen dostrzegła Olivette i Paula Jeana, obok których stała Beatrice, ubrana w czerwoną suknię i tego samego koloru szarfę we włosach. Kurt witał się jeszcze z gośćmi.

Nagle rozległy się dźwięki fanfar, goście ucichli, a dyrygent odwrócił się do nich i zapowiedział marsza. Środek sali opróżnił się, a w pierwszej parze stanęli Olivette i Paul Jean. Pozostałe zaczęły się formować za nimi na samym środku błyszczącej pod-

łogi. Ellen poczuła, jak z obydwu stron ktoś chwyta ją za rękę. Odwróciła się w lewo, potem w prawo i ujrzała dwóch wysokich, przystojnych mężczyzn, którzy patrzyli wilkiem jeden na drugiego ponad głową Ellen.

– Ale z ciebie drań, Ken – powiedział brunet, pociągając dziewczynę ku sobie.

– Wypchaj się – odpowiedział blondyn z przekonaniem.

– Ja ją pierwszy zauważyłem.

– Kłamiesz w żywe oczy – powtórzył brunet.

– Ależ chłopcy – wkroczyła Ellen – czy mogę coś powiedzieć na ten temat?

Przeprosili ją, lecz żaden jej nie puścił.

– A może tak zatańczę marsza z jednym z was, , a następny taniec z drugim? – proponowała.

– O nie – powiedział blondyn, na co brunet zareagował natychmiast i wziął ją pod rękę – Jesteś...

Wyglądało na to, że znowu się zacznie.

– Powiem wam coś – Ellen podniosła głos. – Jeden z jednej, drugi z drugiej strony proszę.

W milczeniu obaj posłuchali.

– Jestem Ken Dunbar – powiedział blondyn.

– A ja Tom Dunbar – przedstawił się drugi.

– Czy umówimy się na pierwszy mecz w tym sezonie? – zapytał Ken.

– Pamiętaj, że jeżeli ja ją zaproszę, to nie będzie mogła iść z tobą. Jestem starszy – przypomniał Tom.

– Chwileczkę, nie interesuje was, jak ja się nazywam? – wtrąciła Ellen.

– Aha – powiedział Ken – Jesteś moim marzeniem.

Obaj szli z nią nie puszczając jej rąk ani na chwilę.

– Dziękuję bardzo, ale z żadnym z was nie mogę pójść na mecz. Jestem sekretarką

pana Hollistera i cały czas jestem zajęta. Nazywam się Ellen Marshall – ostatnie słowa wypowiedziała bez przekonania, jakby informując o czymś, co nie miało wielkiego znaczenia.

Przy jednej z figur marsza, Ellen dostrzegła Kurta z Beatrice poruszającą się dość sztywno przy jego ramieniu. Potem, na znak dany przez Paula Jeana, tańczący sformowali inne pary, w których po kolejnej fanfarze, tańczyli walca. Chciała przyrzeć się tańczącym z dala, lecz Ken Dunbar w niewyjaśniony dla niej sposób wymanewrował Toma i znalazła się w samym środku tańczących. Po trzech obrotach można było odbijać, więc czekali na przemian, aż Ellen skończy rundę z bratem, by samemu zająć jego miejsce. Ellen próbowała odnaleźć w tłumie Kurta, lecz nie mogła. Pierwsze trzy tańce odbyła na przemian z braćmi, na koniec powiedziała:

– Przepraszam, panowie – i zanim któ-

rykolwiek zdążył chwycić ją za rękę, uciekła na taras, gdzie ustawiono mnóstwo małych stolików. Jeżeli ktoś usiadł, natychmiast z niebieskawej poświaty wyłaniał się kelner, serwował szampana w pojemniku z lodem i podawał popielniczki. Nawet księżyc otoczony gwiazdami starał się dodać uroku tej scenie.

W przesyconej zapachem egzotycznych roślin ciemności dostrzegła mężczyznę siedzącego na ławce, który bacznie się jej przyglądał. Gdy ich oczy spotkały się, wstał, szybko podszedł ku niej i wziął ją za rękę.

– Najdroższa...

– Kurt!

– Patrzyłem, jak tańczysz.

– Nie widziałam cię nigdzie.

– Siedziałem sobie pod ścianą i patrzyłem.

Na ścieżce rozległy się czyjeś kroki. Podświadomie oboje odwrócili się i poszli

przed siebie.

– Ten taniec należy do mnie, Ellen, jak mi się wydaje.

Clyde podał jej ramię z przesadną grzecnością. Nie widziała go od chwili, kiedy wymierzyła mu pamiętny policzek.

– Ellen ma zamiar przesiedzieć tą kolejkę ze mną – Kurt powiedział stanowczo.

– A może byś tak pozwolił zdecydować damie? – twarz Clyde'a wykrzywiła się w drwiącym uśmiechu.

– Dama zdecydowała – wycedził Kurt przez zaciśnięte zęby, a w chwilę później pięść Kurta trafiła Clyde'a prosto w szczękę. Clyde zatoczył się i upadł ciężko na ławkę. Nie wstając powiedział:

– Drogi kuzynie, nie będziemy się tutaj bić, ale pamiętaj, zrewanżuję ci się.

Od strony domu biegła jednak w ich stronę rozwścieczona Beatrice, w swej czerwonej sukni wyglądała jak wcielenie furii. Wlokła za sobą przepaskę przycze-

pioną do kosmyka włosów i krzyczała do Ellen:

– Co ty tu robisz? Nie masz prawa tu być! Jak śmiesz, tutaj, razem z gośćmi! Odpowiadaj, ty... ty...

Beatrice rzuciła się z pięściami na Ellen, lecz Kurt i Clyde zdążyli ją powstrzymać.

– Czyś ty zupełnie oszalała? – zapytał ostro Kurt.

– Chciałbyś, prawda? Nawet wiem jak bardzo.

Głos Beatrice przeszedł w szept, ale nie oznaczało to, że była mniej wściekła. Ellen bała się jej zionących nienawiścią oczu i zimnych jak lód słów. Nie wiedziała, co mogło spowodować u niej taki wybuch.

– Przestań – przerwał zniecierpliwiony Clyde, jakby nagle nabrał wstrętu do całej tej historii. – Chodź, zatańczymy – rozkazującym głosem zwrócił się do żony Kurta. – Ale przedtem zrób porządek z włosami – wyrzuć to albo porządnie przypnij.

Ellen wydawało się, że Kurt uderzy go po raz drugi, nagle jednak otoczyło ich mnóstwo ludzi. Paul Jean z uwieszoną na ręce Flossie zaproponował Ellen, by z nim zatańczyła:

– Może wydaje ci się, że nie umiem tańczyć rumby, ale to nieprawda. Flossie pokazała mi właśnie, jak to się robi. Po prostu obudziła to we mnie.

Paul Jean mówił prawdę, tańczyło się z nim bardzo przyjemnie. Po nim przyszli następni mężczyźni, których nazwisk nie potrafiłaby nawet spamiętać. Jeden z nich powiedział jej, że za chwilę wystąpi Olivette. Wyszli więc z sali balowej do ogrodu, gdzie przy stawie zrobiono małe podwyższenie otoczone krzesłami dla słuchaczy, którzy tłumnie zeszli się, by jej posłuchać. Olivette już była na miejscu, ubrana w przetykaną srebrem suknię i etolę z lisów w odpowiednim kolorze. Zaśpiewała dwie arie solo, później dołączyli do niej



inni artyści. Pieśni i ballady wypełniły resztę wieczoru.

W przerwie podszedł do niej Paul Jean.

– Właśnie dzwonili z linii lotniczych i potwierdzili naszą rezerwację na jutro. Lecimy z La Gardii.

Ellen zauważyła, że jego oczy aż błyszczały w oczekiwaniu na podróż. Jak bardzo musi kochać te swoje kopalnie, jak bardzo mu zależy na tej podróży, pomyślała.

Rozglądnęła się za Kurtem. Czy powie jej dziś dobranoc? Czy zobaczą się, nim wyjedzie? A co będzie, jeżeli go więcej nie zobaczy? Przez krótką chwilę była tak blisko niego, widziała, że nie jest mu obojętne. Zdecydowanie odrzuciła myśl o życiu bez Kurta – Kurt był dla niej życiem. Przecież miłość nie może nagle zmienić się w coś miłego lecz bez znaczenia, we wspomnienie. Czy będzie musiała wybudować sobie nowy świat, w którym nie będzie

miejsca dla niego? Poczwała się zagubiona.

– Ellen – usłyszała znów głos Paula Jana. – Bądź gotowa jutro przed południem. Kurt odwiezie nas do Nowego Jorku.

Następnego ranka obudziła się smutna i zła na cały świat, co zdarzało jej się bardzo rzadko. Dlaczego musiała się zakochać właśnie w Kurcie? Czy było jej pisane tylko sprawić mu więcej kłopotów? Nie mogła znieść tej myśli. Śniadanie zjadła samotnie, Kiedy nadszedł czas wyjazdu, starała się zdusić wszelkie ślady uczucia, tak będzie lepiej dla niego.

Paul Jean czekał już w holu obejmując Olivette, która zaklinała go, by uważał na siebie.

– Ile razy byłem na tej wycieczce, co? – zaprotestował i ruszył na dół po schodach. Kurt siedział za kierownicą, gotowy do drogi. Pomachawszy jeszcze raz Olivette Paul Jean prawie że posadził Ellen na tylne siedzenie i z zaskakującą jak na tak po-

stawnego mężczyzną zrećnością wskoczył do auta z przodu, obok Kurta.

– Dbaj o siebie – krzyknął do Olivette, która powiewała odjeżdżającym małą jedwabną chusteczką próbując powstrzymać się od łez.

Ellen domyśliła się, że Olivette obawiała się o swego brata. Nagle zdała sobie sprawę, że to właśnie ona dała mu pretekst do tej wyprawy. Oto dwaj mężczyźni, na których najbardziej mi w życiu zależy – czy obu mam przynieść nieszczęście?

– Gotowa? – zapytał Kurt odwróciwszy się do niej.

– Tak – odpowiedziała – gotowa. – Przez chwilę, która wydawała się trwać całą wieczność, Ellen wpatrywała się w niego i słyszała cudowne słowa, które powiedział do niej poprzedniego wieczora – Najdroższa... Otwierały one drzwi do ich własnego świata, gdzie Paul Jean, Olivette, służba i dom byli tylko snem.

– Do roboty, chłopaki! – krzyknął Paul Jean. Służba usunęła się z drogi i Kurt ruszył.

– Ster na Kalifornię! – cieszył się Paul Jean, uśmiechając się porozumiewawczo do Ellen.

Zasalutowała energicznie: – Tak jest, kapitanie.

Prawie natychmiast Kurt i Paul Jean pograżyli się w rozmowie dotyczącej interesów, więc Ellen poczuła się zwolniona z obowiązku włączenia się do niej. Nie przeszkadzało jej to. Wspominała pocałunek Kurta na szkunerze podczas sztormu – słony smak wody na jego twarzy. Zaskoczyła ją gwałtowność własnego uczucia. Wczoraj wieczorem, kiedy zdała sobie sprawę, w jakiej sytuacji oboje się znaleźli, próbowała z całych sił przytłumić głos serca. Z drugiej strony, czy nie zachowywała się jak pensjonarka? Gdyby miała trochę więcej oleju w głowie znalazłaby sposób na

zapobieżenie temu. Obrzucała się wyzwiskami, próbowała wymazać z pamięci chwile spędzone z Kurtem, jego szorstki, pełen uczucia głos, dotyk jego dłoni, spojrzenie, lecz jak nietrudno było przewidzieć, bez rezultatu. Ilekroć Kurt odwracał się ku niej, płomień wybuchał znów z pomnożoną siłą. Nie było sensu się opierać, bo kiedy go pierwszy raz zobaczyła, wiedziała, że jest jedynym mężczyzną, którego będzie mogła pokochać.

Pożegnanie na lotnisku trwało krótko. Kurt uścisnął rękę Paula Jeana, potem chwycił mocno jej dłoń.

– Chciałbym z wami lecieć – powiedział smutno.

Ellen nie mogła wypowiedzieć ani słowa.

Samolot wystartował gładko. Każda minuta lotu oddalała ją coraz bardziej od Kurta. W dole znikwały East River, Long Is-

land, Bowery Bay i Flushing Bay, błyszczące w słońcu. Kiedy je znów zobaczę? Kiedy zobaczę Kurta?

– Jutro będziemy w Kalifornii, Ellen. Jakie to wspaniałe uczucie. Świat jest piękny.

Paul Jean nie posiadał się z radości.

Ellen przyglądała się przez okno postrzępionym puszystym chmurom, przybierającym najdziwniejsze kształty. Samolot leciał tak równo i spokojnie, że Ellen czuła się zawieszona między niebem i ziemią. Podziwiała kolory zachodzącego słońca, a później setki mrugających gwiazd, które jakby na zamówienie umilały jej podróż.

## Rozdział 11

Na lotnisko wyszedł po nich dyrektor administracyjny kopalni w towarzystwie innych urzędników, chcących złożyć wyrazy szacunku Paulowi Jeanowi. Jemu zaś bardzo spieszyło się do miejsca, w którym, jak mawiał, spędził najlepszą część życia. Powiedział nawet Ellen na ucho, że ma ochotę wymknąć się wszystkim, skoro tylko dotrą do miejsca, gdzie rozgrywa się pierwsza część jego książki, a ona dobrze wiedziała, że cokolwiek zamierzył, zwykle doprowadzał do końca.

Od naczelnego inżyniera Edwardsa dowiedziała się wiele o sposobach wydobywania złota, robiąc czasami notatki dla Paula Jeana. W okolicach, gdzie można było prowadzić prace metodą wyplukiwania, widziała całe wzgórza zmiecione z powierzchni ziemi.

– Mimo wszystko jest jeszcze wiele miejsc, gdzie poszukiwacze złota mogą działać na własną rękę i dorobić się nawet majątku.

Nazajutrz zdecydowano, że w dalszą drogę ruszą konno, łatwiej im bowiem będzie dotrzeć w pobliże kopalni. No tak, pomyślała Ellen, Paul Jean z pewnością wykorzysta to jako pretekst do odłączenia się od innych. Pojedzie w najniebezpieczniejsze ostępy, a wtedy...

Następnego dnia pretekst się znalazł. Dyrektor dostał wiadomość, że w jednym z miejsc, które właśnie opuścili, wystąpiła awaria i musiał natychmiast udać się na miejsce, Paul Jean z Ellen mieli zaś jechać naprzód i zanoć w małej osadzie. Dyrektor powiedział, że spróbuje dołączyć do nich przed południem.

– Odpoczniecie trochę, a ja z Edwardem sprawdzę, co się stało, ale mam nadzieję, że to nic poważnego.



Paul Jean spojrział na Ellen i uśmiechnął się.

– Ale mamy szczęście! Wsiadajmy na koń, moja panno. Pokażę ci, gdzie dziadek Hollister zaczynał kopać. .

– Czy to daleko? Może lepiej powie-  
dzieć o tym dyrektorowi?

– Tylko parę mil stąd, nie zabawimy  
długo. A oni potem dołączą do nas.

– Skąd będą wiedzieli, gdzie nas  
szukać?

– Zostawię im list. Znam te miejsca jak  
własną kieszeń.

Próbowała go odwieść od tego zamiaru,  
lecz nie na wiele się to zdało. Po krótkiej  
chwili ruszyli w drogę.

Od samego początku Ellen zdawała so-  
bie sprawę, że konie, które im przydzielono,  
nie należą do najspokojniejszych. Trzylatek,  
którego dosiadał Paul Jean, próbował go  
nawet zrzucić, lecz ten z łatwością  
przekonał go do posłuchu. Oba zwie-

rzęta zachowywały się tak, jakby wiedziały, że dosiadają ich obcy.

– Nie musisz być spięta, Ellen, to dobry koń.

Ruszyli kłusem, lecz wkrótce potem musieli zwolnić, gdyż teren stał się trudniejszy. Ellen prześladowała myśl, że zapuszczając się samotnie tak daleko podejmują spore ryzyko i podzieliła się tą myślą z Paulem Jeanem.

– Oni sądziliby, że to strata czasu, ale ja chciałbym ją zobaczyć i pokazać tobie – zdecydował.

Ładna pogoda i cichy szum drzew uspokoiły trochę Ellen.

– Jest tak spokojnie i tyle tu przestrzeni. Czy pierwszym osadnikom ziemia ta wydawała się taka sama?

– Chyba tak, może z wyjątkiem chwil, kiedy Indianie dobierali im się do skóry.

– Pewnie chciałby pan tam być na początku, kiedy było tu jeszcze dziko i ro-

mantycznie – domyśliła się Ellen.

– Oczywiście – roześmiał się, i zaczął wspominać.

Przez cały czas Ellen bacznie obserwowała drogę i znów się zaniepokoiła, gdyż drzewa wydawały się zarastać im drogę, coraz bardziej nierówną. Przed nimi jak okiem sięgnąć rozpościerały się wzgórza porośnięte sosnami. Modliła się, by dyrektor i główny inżynier jak najprędzej do nich dołączyli. Była teraz pewna, że ryzyko jest zbyt wielkie i tak naprawdę nie ma po co go podejmować. A jeżeli coś się stanie? Byli tak daleko od terenów zamieszkałych. Nagle Paul Jean uniósł się w strzemiionach i wyciągnął dłoń przed siebie.

– Tam! Właśnie tam! Widzisz dwa strome wzgórza tam dalej, na północ? Między nimi jest głęboki wąwóz, w którym odkryliśmy pierwsze i najbogatsze jak dotąd pokłady złota. Ruszajmy!

Z przerażeniem Ellen zauważyła, że

słońce znikło. Paul Jean zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Nic się nie stanie, jeśli nawet trochę pokropi. Gdzieś tutaj powinna być stara chata, w której wychowały się całe pokolenia Tubbsów. Jak będziemy musieli, schronimy się tam.

Jego wyjaśnienia nie rozwiały jednak obaw Ellen. Wydawało się, że ciężkie, granatowe chmury dotykają wierzchołków drzew odcinając zupełnie dopływ światła. Zerwał się wiatr, a po chwili pierwsze wielkie krople deszczu uderzyły w nich. Potem zaczęła się prawdziwa ulewa.

Paul Jean zbliżył się do Ellen i starał się przekrzyczeć zawieruchę:

– Tam! Widzisz chatę? Po drugiej stronie potoku. Powinniśmy zdążyć!

Za chwilę byli przemoczeni do suchej nitki, lecz nie zwalniali tempa, chociaż droga pełna była wykrotów, kamieni i bardzo śliska. Raz po raz niebo rozdzierały

błyski piorunów. Mieli jeszcze do pokonania rwący potok. Paul Jean wskazywał jej dogodne miejsce do przeprawy, więc ruszyła z kopyta.

Jak zdarzył się wypadek, Ellen nie miała pojęcia. W pewnej chwili ogłuszył ją huk piorunu, który rozłupał drzewo po jej prawej stronie. Obejrzała się za siebie i dostrzegła, że koń Paula Jeana przestraszył się, poniósł i zrzucił swego jeźdźca na ziemię.

Ellen zatrzymała konia i czekała. Sądziła, że Paul Jean wstanie i zacznie się złościć, jego upadek nie wyglądał groźnie. Ale on leżał nieruchomo na mokrej ziemi. Ellen zawróciła i zeskoczyła z konia koło niego.

– Panie Hollister, panie Hollister! – jęknęła. Był bardzo blady, a ze skroni ciekła mu strużka krwi. Tak, musiał uderzyć się w głowę i stracił przytomność. Ellen wzięła jego głowę na kolana i rozplakała się.

– Nic się panu nie stało? Proszę, nich pan coś powie – błagała poruszając bezgłośnie wargami. Wreszcie zorientowała się, że nic nie wskóra. Zdjęła płaszcz i podłożyła mu pod głowę.

– Nie żyje – łkała. – To moja wina. Gdyby nie ja, nigdy by się tu nie znalazł. Nie mam po co żyć, skoro on nie żyje.

Po chwili przyszło otrzeźwienie. Wszystkie te słowa wykrzykiwała w głuchym pustkowiu wśród strug padającego deszczu. Przecież powinna sprowadzić pomoc, jakiegoś lekarza. Wróciła do konia i ruszyła w kierunku chat} z nadzieją, że zastanie tam kogoś.

Będąc w połowie drogi przez strumień zauważyła dwie postaci w drzwiach chaty. Tamci musieli ją też widzieć, bo dosiedli koni i popędzili w jej kierunku. Gdy zbliżyli się, mogła rozróżnić twarze – byli z pewnością górnikami. Młodszy z nich wyciągnął dłoń w geście pozdrowienia.

– Ma pani kłopoty?

– Czy możecie zobaczyć co stało się z panem Hollisterem? Koń go zrzucił.

– Pana Hollistera? – krzyknął młodszy i nie zwlekając popędził w kierunku, gdzie leżał Paul Jean. Ellen i starszy z górników zrobili to samo.

– Żyje. Wstrząs mózgu, ma też chyba złamaną nogę – zawyrokował młodszy przyjrzawszy się leżącemu.

– Dzięki Bogu, żyje – westchnęła z ulgą Ellen.

– Dobrze, że mam tu z sobą wóz. Wy zaczekajcie tutaj, a ja wezmę dwa konie, zaprzęgnę i zaraz wrócę. Wsadzimy pana Hollistera na wóz i zawieziemy do miasteczka, nazywa się Blue Valley. Mają tam telegraf i będą mogli wezwać lekarza – ściągnął z siebie pelerynę i podał starszemu.

– Rozłóż to nad nim.

Paul Jean nie wybrałby się tu, gdybym

nie zaczęła mu opowiadać, jak poprawić warunki życia górników, myślała Ellen. Chciało jej się płakać, lecz zdołała powstrzymać łzy. Wkrótce wrócił młodszy i razem załadowali Paula Jeana na wóz. Ellen wdrapała się tam i wzięła jego głowę na kolana. Mężczyźni zwinęli koc, podłożyli go pod nogę Paula Jeana i nakryli go nieprzemakalną peleryną. Ellen nachyliła się, by osłonić jego twarz. Tak zaczęła się długa droga, w czasie której wóz podskakiwał i skrzypiał na wykrotach. Wreszcie starszy z mężczyzn powiedział do niej ciepło:

– Za jakąś godzinę będziemy w Blue Valley. Lepiej od razu wezwać lekarza.

Ellen nie wiedziała zupełnie, jak długo jechali do tej pory. Z przyzwyczajenia spojrzała na zegarek, lecz musiał zsunąć jej się z ręki.

Po jakimś czasie zaczęło się przejaśniać. Wtedy ujrzeli dwie postaci na koniach



zmierzające ku nim. Okazało się, że są to dyrektor i Edwards. Gdy dołączyli do nich, Ellen wyjaśniła, co zaszło.

– Niemożliwe. Jeszcze nie urodził się taki koń, który mógłby go zrzucić.

– Wszystko przez burzę, koń się wystraszył i poniósł.

Droga była daleka. Ellen siedziała na swoim miejscu przy Paulu Jeanie robiąc wszystko, by złagodzić wstrząsy. Młodszy górnik starał się omijać wszelkie nierówności drogi, ale w pewnym miejscu musieli jeszcze raz przebrnąć przez strumień. Ellen była pewna, że wóz się przewróci. Edwards z dyrektorem jechali obok wozu, i kiedy przechylał się niebezpiecznie w jedną lub w drugą stronę, podtrzymywali go wychylając się z siodeł. Nikt nic nie mówił.

Na koniec dojechali do Blue Valley. Wezwano lekarza, a Ellen wysłała telegram do Kurta.

Doktor Harrison, który zajął się Paulem Jeanem, okazał się być jego starym przyjacielem. Teraz trzeba było poczekać na wyniki badania. Ellen nie czuła nic, była odepiała z wyczerpania. Wszyscy trzęśli się z zimna, a doktor Harrison, kiedy ich zobaczył, zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

– Jesteście zaniepokojeni stanem pana Hollistera, ale nic mu nie pomożecie zostając tutaj. A pani – zwrócił się do Ellen – musi wziąć coś na uspokojenie. Teraz wszyscy idźcie się przebrać. Musimy zachowywać się rozsądnie.

– Proszę, panie doktorze – powiedziała Ellen. – Nie chcę nic na uspokojenie. Czy mogę wrócić, jak się przebiorę?

– No cóż, dobrze – zgodził się z oporami doktor. Ellen posłusznie poszła do hotelu, przebrała się i zamówiła gorącą kawę. Kiedy wróciła, recepcjonistka podała jej telegram od Kurta. Gdy ujrzała jego imię, poczuła, że cały czas jest z nią. *Bądź dziel-*

*na za nas oboje. Przylatuję wkrótce. Będziemy razem.*

Po raz pierwszy od chwili wypadku poczuła się bezpieczna. Kurt będzie wiedział, co zrobić, kiedy weźmie sprawy w swoje ręce. *Bądź dzielna za nas oboje.*

Ellen usiadła przy oknie i zamknęła oczy myśląc o słowach Kurta. Tylko dwie rzeczy miały teraz znaczenie – stan Paula Jeana i to, że Kurt przyjeżdża. Poza tym świat dla niej nie istniał.

Drzwi otworzyły się i wyszedł doktor Harrison.

– Dobre wieści, moi drodzy. Paul Jean odzyskał przytomność. Ten kamień nieźle mu rozciął głowę, ale nie ma się czym martwić. Bardzo boli go głowa i jak już wiecie, ma złamaną nogę. Potrzebujemy tylko trochę czasu, zanim znów będzie jak nowy. Czas i dobra opieka zaleczą wszystkie rany.

Potem doktor podszedł do Ellen.

– Paul Jean chce się z panią widzieć. Proszę za mną. Tylko proszę nie siedzieć tam zbyt długo.

Weszli na górę po schodach pokrytych grubą wykładziną do małej windy, która zawiozła ich kilka pięter wyżej. Doktor zastukał lekko w drzwi, które otworzyła pielęgniarka. Ellen ujrzała Paula Jeana na łóżku z zabandażowaną głową i nogą w gipsie. Był wściekły.

– Popatrz co mi się przytrafiło, Ellen. Zrzucił mnie koń! Nie do wiary!

Noga była złamana w łydce, a Paul Jean nalegał, by jej nie przykrywać.

– Widzisz to? – potrząsnął pięścią. – Muszę leżeć na grzbiecie i nic nie robić.

– Wystarczy, Paul – wtrącił się doktor Harrison. – Obiecałeś mi, że będziesz spokojny.

– Tak, w istocie rzeczy, zgodziłem się – przyznał Paul Jean – i dotrzymam słowa. – Chciałem się tylko przekonać, czy Ellen

nic się nie stało.

– Zupełnie nic, panie Hollister. Bardzo się o pana martwiłam.

– Jak sama widzisz, jestem w znakomitej formie. Bądź spokojna, Ellen, nasza praca opóźni się tylko trochę.

Na znak dany przez doktora Ellen pożegnała się. W hotelu zastała kolejny telegram od Kurta, który podawał czas swego przyjazdu i kończył słowami: *Dzięki za opiekę nad Paulem. Na zawsze twój, Kurt.*

Więc mnie kocha. Dzieli nas tyle mil, a ja czuję, jakby był przy mnie. Ellen rzuciła się na łóżko przyciskając do piersi otwarty telegram. Potem znów podniosła go do oczu i czytała, słowo po słowie. Miała nadzieję, że Kurt kiedyś jej to wyzna, lecz nie sądziła że w taki sposób. Zastanawiała się, co też planuje. Nasuwały się jej różne odpowiedzi, ale żadna nie wydawała się prawdopodobna.

Wreszcie wstała i przespacerowała się

po pokoju. Czy nareszcie miał się znaleźć jakiś sposób, by mogli być razem? Czy ciemność, w której żyła ostatnimi czasy, miała zostać rozproszona? Czy będą mogli razem chodzić na spacerów w świetle księżyca, jeździć na konne wycieczki i śmiać się z głupich dowcipów tylko dlatego, że są szczęśliwi i należą do siebie?

– Jutro się spotkamy, najdroższy – wyszeptwała. – Chcę zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, proszę, pomóż mi.

Następnego dnia Ellen wraz z innymi czekała na przybycie Kurta w małym pokoju przy gabinecie doktora Harrisona. Ellen zobaczyła przez okno, że podjeżdża taksówka, z której wyskakuje Kurt, i jak ma w zwyczaju przeskakuje po dwa stopnie. Doktor Harrison wyszedł mu na spotkanie, potem przejęli go pozostali mężczyźni, pracownicy kopalni. Ellen trzymała się z tyłu, by mógł z nimi porozmawiać, ale jego oczy szybko ją odszukały i pod-

wszedł do niej energicznym krokiem.

– Ellen, a tobie nic się nie stało?  
Wszystko w porządku?

– Naprawdę, czuję się bardzo dobrze.

Kurt spojrzał jej głęboko w oczy, jakby upewniając się, że mówi prawdę, potem zwrócił się do doktora Harrisona.

– Czy mogę się teraz zobaczyć z Paulem Jeanem?

– Wprost nie może się na pana doczekać. O mało nie rozwali szpitala – odparł doktor. Kurt uśmiechnął się po raz pierwszy po przyjeździe i poprosił Ellen, by poczekała na niego w hotelu.

– Dobrze – zgodziła się.

Dwie godziny później zadzwonił telefon. Poprosiła Kurta, by wszedł na górę, ona tymczasem próbowała rozpalić na nowo dogasający ogień na kominku i uczynić atmosferę pokoju hotelowego bardziej przytulną.

Drzwi otworzyły się i wszedł Kurt. Ser-

ce Ellen waliło jak młotem. Kurt położył na stole bukiet róż ociekających kroplami deszczu i podszedł do niej. Delikatnie poprowadził ją na sofę obok dogasającego kominka.

– Najdroższa – wyszeptał i pocałował ją.

– Bałam się, Kurt. Byłam sama.

– Jestem przy tobie i zostanę na zawsze, nigdy więcej nie będziesz samotna. – Nagle spowaźniał i zapytał: – Ellen, całe moje życie zależy od twojej odpowiedzi: kochasz mnie?

– Kocham cię, Kurt.

– Wobec tego, najdroższa, wszystko będzie w porządku, dopilnuję tego. Powiedz, że mi wierzysz.

Ellen skinęła głową. Trudno jej było wymówić choć słowo.

– Odpowiedz mi, kochana, proszę. Powiedz, że wiesz, że nam się uda.

– Cokolwiek zdecydujesz, kochany, będzie dobrze.



To właśnie chciał usłyszeć. Objął ją jeszcze ciaśniej, jakby broniąc się przed losem, który chciał mu ją wydrzeć.

– Widzisz, Ellen, pisane nam spędzać tylko takie krótkie chwile ze sobą. Dziś wieczorem muszę się spotkać z kilkoma ludźmi i umówić co do wyczarterowania samolotu do Nowego Jorku. Wrócę, jak tylko uda mi się coś konkretnego ustalić, a wtedy pojedziemy gdzieś na kolację. Zaś jutro dyrektor chce, żebym na parę dni pojechał obejrzeć kopalnie. Ale dziś wieczór należy do nas. Zaczekasz na mnie?

– Zawsze – powiedziała drżącym głosem Ellen. Znowu wziął ją w ramiona i pocałował długo i namiętnie, nie mogąc się z nią rozstać. Po chwili Ellen została sama, lecz pokój nabrał teraz jaśniejszych barw. Kurt kochał ją – i niedługo wróci.

Jechali błyszczącą od deszczu autostradą.

– Usiądź bliżej mnie, Ellen. – Kurt wy-

ciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie. Był poważny na twarzy, jakby nie wierzył, że jego ukochana jest z nim. Uśmiechnęła się, rozmarzona. Ona też nie bardzo temu do wierzała.

Pogoda była zmienna. Po ulewnym deszczu niebo rozpogodziło się i rozjarzyło wielkimi, migającymi gwiazdami. Kiedy stanęli na kolejnych światłach, Kurt pochylił się w jej stronę.

– Powiedziałaś, że mnie kochasz. Powiedz to jeszcze raz.

– Kocham cię, bardziej niż mogę to wyrazić.

Słuchał z uwagą.

– To cudownie – powtarzał, jakby się zastanawiał nad swym szczęściem.

Na wzgórzu dostrzegli światła restauracji. Kurt popatrzył na Ellen, a gdy ona skinęła głową, zatrzymał się. Restauracja była przerobiona ze starego pałacu, pomalowana na biało z podwójnym ciągiem werand

z dwóch stron budynku. Właściciel z uśmiechem na twarzy zaprowadził ich na górę i zapalił lampkę na stoliku. Kurt zamówił dla nich obojga koktajle.

Gdy kelner przyniósł zamówione napoje, tręcili się kieliszkami. Ich bycie razem składało się na razie z takich chwil. Nie wiadomo skąd dochodziła dyskretna muzyka.

– Muszę ci coś powiedzieć, kochana – zaczął Kurt.

– Tak?

– Kiedy wrócimy, mam zamiar poprosić Beatrice o rozwód.

Ellen zadrżała i wyrwało jej się:

– Nie, Kurt. Nie!

– Maja najdroższa, nie bój się. Nie zniósłbym, gdyby ktoś cię skrzywdził.

Ellen zmusiła usta do uśmiechu.

– Nie boję się, ja tylko tak, z początku...

Kurt nagle wstał i przesiadł się koło niej.

– Nie mogę sobie znaleźć miejsca, kiedy

jestem tak daleko od ciebie. Nie chcę cię opuszczać ani na chwilę. Nigdy w życiu nie czułem nic podobnego. Kiedy cię żegnałem na lotnisku, nie mogłem wytrzymać, tak jakby moje serce wyrywało się, by za tobą polecieć. Chcę cię mieć blisko siebie, słyszeć twój głos, widzieć cię. Powiedz, że wiesz, co mam na myśli. – Głos jego brzmiał prosząco, po chłopięcemu.

– Wiem, Kurt. Ja też czułam się samotna.

Po chwili Kurt mówił dalej, jakby głośno myśląc.

– Nie będę ci opowiadał o moim małżeństwie. To była pomyłka od samego początku, Beatrice zdała sobie z tego sprawę znacznie wcześniej ode mnie. – Zawahał się, potem kontynuował.

– Prawie od samego początku coś było nie tak. Staraliśmy się nad tym pracować, ale nie udawało się. Nasze rodziny były sobie dość bliskie. Mieliśmy tych samych

przyjaciół, wobec siebie zachowywaliśmy się poprawnie, ale w miarę upływu czasu Beatrice zaczęła się zmieniać – stała się taka, jaką miałaś okazję poznać. Przez ostatnich kilka lat praktycznie byliśmy sobie zupełnie obcy.

Oczy Ellen błyszczały od łez.

– A potem poznałem ciebie, Ellen.

– Kiedy zorientowałaś się po raz pierwszy, że mnie kochasz? – wyszeptała.

– Pierwszego dnia.

Wstali i podeszli do barierki okalającej werandę, skąd mogli podziwiać księżyc srebrzący wierzchołki drzew.

– Kiedy pozałatwiam wszystkie sprawy, przyjadę po ciebie.

– Po mnie? – nie bardzo rozumiała.

– Tak, po ciebie – żebyśmy mogli się pobrać.

Objął ją i pocałował, powtarzając:

– Kocham cię i ty mnie kochasz – to najważniejsze.

## Rozdział 12

Gdy Paulowi Jeanowi przestało grozić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, Kurt wyruszył z dyrektorem kopalni na objazd szynobów.

– Bardzo bym chciał, żebyś pojechała ze mną – powiedział kiedyś Ellen.

– Wiesz, że muszę zostać z Paułem Jeanem.

Tak się też stało. Ellen nie odstępowała chorego ani na krok, przynosiła mu gazety, czytała na głos, czasami nawet robiła notatki do książki. Wieczorem, gdy mówiła mu dobranoc robiło jej się smutno na widok człowieka tak pełnego sił życiowych przykutego do wąskiego szpitalnego łóżka. W samotności zastanawiała się, jakim wynikiem zakończy się rozmowa Kurta z Beatrice. A jeśli nie zgodzi się na rozwód?

Jeśli jest tak niezrównoważona, na jaką wygląda i zechce się zemścić na Kurcie? Natłok takich i podobnych myśli ranił jej serce. Bez Kurta trudno jej było sobie z tym poradzić, oskarżała się o spowodowanie sytuacji bez wyjścia. Jednak starała się przekonać samą siebie, że są dla siebie stworzeni. Cieszę się, że go spotkałam, nawet gdybym go więcej miała nie ujrzeć. Nikt inny nie istnieje dla mnie.

Pewnego wieczora Kurt wrócił wcześniej niż zwykle, przysiadł na brzegu łóżka Paula Jeana, wziął jego i Ellen za ręce i powiedział:

– Słuchajcie, dzieci – wszystko gotowe do drogi, lecimy jutro o drugiej. Udało mi się wynająć samolot.

– Dobra robota, mój chłopcze. Wiedziałem, że mogę na tobie polegać. – Paul Jean uśmiechnął się i próbował wrócić do dawnego szorstkiego sposobu bycia. – A teraz wynoście się stąd, żebym mógł choć na

chwilę zmrużyć oczy przed podróżą.

Zadzwoił po pielęgniarkę, by pokazać, że rzeczywiście mówi prawdę.

– Idźcie sobie potańczyć – wymamrotał na pożegnanie.

– Ubierz się w coś ładnego dla mnie – poprosił Kurt, gdy wracali do hotelu. – Wzięłaś coś ze sobą?

– Zwykłą czarną sukienkę.

– Tę co odsłania ramiona w taki sposób, że każdy z mężczyzn chce mnie zabić, kiedy cię ze mną widzi?

– Coś w tym rodzaju – odparła Ellen.

Gdy wrócił po nią za pół godziny, przyniósł ze sobą dwie ogromne czerwone orchidee i przypiął je do sukni Ellen.

W klubie zajęli miejsca blisko parkietu, na którym kręciło się wiele par, a muzyka niecierpliwym rytmem zachęcała do tańca.

– Ellen – Kurt pochylił się do niej – znów jesteśmy razem.

W przyływie uczuć chciała mu powie-



dzieć, że to nie wystarczy, że chce rzucić mu się w ramiona, że chce mu pokazać, jak bardzo go kocha, lecz nie mogła się na to zdobyć. Tylko oczy patrzące wymownie ośmielały się przekazać to, czego usta nie potrafiły.

– Zatańczmy – powiedział nagle, zapominając o koktajlach, które właśnie przyniósł kelner.

– Kolejny pretekst, bym mógł cię przytulić – wyszeptał, przytykając usta do jej policzka. – Popatrz na mnie, Ellen. Twoje oczy mają dziś granatowy kolor i widać w nich gwiazdy.

Uśmiechnęła się i podniosła głowę. On zaś pochylił się, by mogli być jak najbliżej. Orkiestra przestała grać i wrócili do stolika. Przez następną godzinę siedzieli pogrążeni w rozmowie, ciesząc się, że mogą być razem. To samo uczucie towarzyszyło im w drodze do domu. Kurt odprowadził Ellen do windy w hotelu, lecz Ellen zach-

wywała się tak, jakby nie odszedł. Pamiętała jego bliskość, barwę głosu, słowa wypowiedziane tuż przed rozstaniem:

– Widzisz, dodaliśmy parę chwil do tego, co było już nasze.

Podobało jej się to, lubiła bowiem myśleć, że chwile spędzone z Kurtem dadzą w wyniku całą wieczność.

Powrót do domu, chociaż trwał bardzo krótko, był dość męczący. Przybyli do Hollister House prywatną karetką zamówioną przez Kurta. Olivette stała w tym samym miejscu, gdzie w otoczeniu służby machała im dłonią na pożegnanie. Musiała się dość dobrze przygotować psychicznie do tego smutnego powitania, bo zbliżywszy się do noszy, powiedziała swym aksamitnym głosem:

– No, i kto teraz jest do niczego? Wstydzilibyś się.

Ale gdy Paula Jeana wnoszono na górę, Ellen zauważyła, jak Olivette ściska srebr-

ne okucie laski, a z jej oczu toczą się łzy. Chwilę później jednak opanowała się, otarła je i poszła w ślad za wszystkimi. Pokój Paula Jeana przemeblowano, by pomieścić znaczną ilość sprzętu medycznego potrzebnego w rekonwalescencji pacjenta.

Jak tylko rozłokowali się po powrocie, Olivette poprosiła do siebie Ellen i kazała sobie dokładnie opowiedzieć o tym, co się stało. Słuchała bez słowa, a kiedy Ellen skończyła, podeszła i przytuliła ją do siebie.

– Uratowałaś go, Ellen. Nie dałaś zginąć mojemu bratu.

Dziewczyna zaprotestowała, ale Olivette nie dała się przekonać.

– Oczywiście, górnicy pomogli ci trochę, ale ty uratowałaś go swoim sercem. Jest to pewna różnica i za nią cię cenię.

– Jest pani taka dobra – powiedziała Ellen. – Nigdy nie spotkałam nikogo podobnego.

Jak miała się za chwilę przekonać, Olivette potrafiła też być stanowcza. Mijając apartamenty Paula Jeana usłyszały kroki od strony pokoi Beatrice, a ona sama pokazała się chwilę później ubrana w bardzo krótką sukienkę koloru brązowego, która zmieniła ją nie do poznania – zamiast szarej, nieciekawej kobiety ujrzały młodą, powabną postać z rozpuszczonymi włosami. Ellen pamiętała, że zawsze nosiła je ciasno upięte na czubku głowy. Odwróciła się demonstracyjnie do Ellen i powiedziała w stronę Olivette:

– Idę powiedzieć Paulowi Jeanowi dobranoc.

– Nigdzie nie pójdziesz! – wykrzyknęła Olivette. – Czy naprawdę nie zdajesz sobie sprawy w jak poważnym stanie jest mój brat? Można go odwiedzać tylko za pozwoleniem lekarza.

– Miałam właśnie zamiar go zapytać – powiedziała Beatrice, a Ellen miała wraże-

nie, że za chwilę zacznie krzyczeć na Olivette, jednak powstrzymała się. Starsza kobieta pozostała nieugięta i Beatrice po chwili odwróciła się na pięcie i poszła do siebie. Gdy znalazła się poza zasięgiem ich wzroku, usłyszały szybki tupot drobnych kroków, jakże kontrastujący z wystudowanym i powolnym sposobem poruszania się jej na co dzień.

– Szła powiedzieć Paulowi Jeanowi dobranoc! – Ironicznie naśladowała ją Olivette. – A może jej się wydaje, że nie zauważyłam, jak bardzo przystojny jest nowy lekarz Paula Jeana. Nigdy przedtem nie zniżyłam się do śledzenia Beatrice, ale teraz, kiedy tak bardzo się odmieniła, będę miała oczy szeroko otwarte.

Dom wydawał się większy i bardziej pusty niż zazwyczaj, bowiem Paul Jean cały czas leżał w swoim pokoju nie odstępowany ani na krok przez Olivette. Flossie najwyraźniej przeżywała kolejny okres mał-

żeńskiego szczęścia, więc była rzadkim gościem w Hollister House, a Clyde zapodział się gdzieś na dobre.

Od powrotu z Kalifornii nie podawano posiłków w wielkiej jadalni, więc Ellen jadła u siebie lub z ciotką Olivette na jej zaproszenie. Kurt ostatnimi czasy przebywał dużo w Nowym Jorku w związku z jakimś ważnym interesem, więc z nim też niezbyt często było jej dane zamienić choć słowo. Pewnego dnia pokojówka przyniosła jej list:

*Spotkajmy się dziś wieczór o ósmej trzydzieści kolo wielkiego fotelika Paula Jeanana. To bardzo ważne.*

Nie był podpisany, lecz Ellen znała na tyle dobrze charakter pisma Kurta z dokumentów, które pokazywał jej często Paul Jean przy pracy, że nie miała najmniejszych wątpliwości. Domyśliła się także, że

chodziło o fotel w ogrodzie, w którym lubił siadywać dyktując.

– Musiałem się z tobą spotkać, najdroższa – powiedział Kurt i wyszedł z cienia, gdy Ellen zjawiła się w umówionym miejscu. Usiedli razem na fotelu.

– Paul Jean przez parę tygodni nie będzie mógł pracować nad książką, Ellen – zaczął. – Lekarze zabronili mu podejmować jakikolwiek wysiłek, fizyczny czy umysłowy.

– Wrócę do Nowego Jorku – wystękała zaskoczona Ellen. – Zostanę tam, aż nie wyzdrowieje.

– Nie, nie. Nie odjeżdżaj od nas, kiedy cię tu tak bardzo potrzeba. Olivette nalega, żebyś została. Tylko ja muszę wyjechać. Nie na zawsze – dodał pośpiesznie, widząc smutną minę Beatrice. – Na jakiś tydzień. Nie mogę tego dłużej odkładać.

Wstał i zaczął się nerwowo przechadzać.

– Jaka szkoda, że nie mogę cię ze sobą

zabrać! – wybuchnął. – Boję się o ciebie!

– Dlaczego? – zapytała. – Mam dużo pracy, muszę przepisać na maszynie to, co już zrobiliśmy i uporządkować notatki. Nie będę miała czasu na głupstwa.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi – zaczął Kurt nim dojrzał, że wybuchnęła śmiechem, lecz potem przyłączył się do niej.

– Zostawię cię więc pod opieką Olivette. Ale proszę cię, nie odjeżdżaj. Zostań tam, gdzie będę mógł cię znaleźć.

– Chcę być blisko ciebie – wyszeptała.

– Nie powiem Beatrice o... rozwodzie – zawahał się przed ostatnim słowem – zanim nie wrócę. Dom mógłby się wtedy dla ciebie stać niegościnnie, a nawet niebezpieczny. Kiedy będę już mógł się o ciebie osobiście zatroszczyć, powiem jej. – Przerwał, a Ellen zauważyła malujące się na jego twarzy napięcie.

– Kocham cię, Kurt – powiedziała z żarem – i będę cię kochać potajemnie tak



długo, jak tylko będzie trzeba.

Wstali i poszli pod rękę w stronę drzew. Nad głowami pokazał się właśnie sierp księżycyca i pierwsze, nieśmiałe gwiazdy. Układające się do snu ptaki trzepotały od czasu do czasu skrzydłami, w pobliskim stawie odezwała się żaba, za chwilę zawtórowała jej druga.

Wargi Kurta dotykały głowy Ellen:

– Pocałuj mnie, najdroższa. Nikt inny nie potrafi cię kochać jak ja.

Przytuleni do siebie, jakby związani niewidzialnymi, więzami, cieszyli się sobą. Gdy wrócili do domu, spotkali Olivette, całą w uśmiechach.

– Paul Jean poprosił, żebym mu dziś zaśpiewała – powiedziała. – Naprawdę wraca do zdrowia. Kurt, powiem służbie, żeby mi przenieśli pianino do jego pokoju.

– Tak się cieszę – wykrzyknęła Ellen.

– Mówiłem ci – wtrącił Kurt. – Starego Paula nic nie przykuje do łóżka. – Objął

ciotkę ramieniem, a ta pocałowała go w policzek.

– Jedliście już coś? – spytała wesoło.

Oboje powiedzieli, że nie.

– Więc zapraszam was do siebie. Też nie jadłam kolacji, więc możemy coś razem przekąsić...

Kurt wyjechał z samego rana, zanim Ellen zdążyła zejść na dół. Jak sobie wcześniej zaplanowała, usadowiła się w bibliotece i zaczęła przepisywać notatki. Wiedziała, że nie wytrzyma całego tygodnia bez Kurta, pomóc jej w tym mogło tylko zapomnienie się w pracy.

Dni dłużyły się. Niemal każdego popołudnia Olivette wpadała do Ellen, by zaprosić ją na herbatę w ogrodzie, kładąc służbie stawiać stół w coraz to innych miejscach, gdzie miały okazję podziwiać intensywnie pachnące kwiaty.

– Bardzo mi pomogłaś – powiedziała kiedyś.

Pewnego wieczora pod koniec tygodnia zauważyła, że kilka z jej sukienek wymagało drobnych napraw, pomyślała też natychmiast o Mary Gilly. Wzięła je więc ze sobą i wyruszyła na poszukiwanie szwaczki. Jak można się było domyślić, nie było jej w szwalni. Ellen przypomniała sobie wtedy drogę, odbytą ze służącym w jej poszukiwaniu, więc poszła prosto do małej chatki, gdzie mieszkała wraz z dziadkiem.

Ściemniało się już, lecz Ellen się nie bała. Któż mógłby przebywać na terenie posiadłości oprócz stałych mieszkańców i służby? Poza tym lada chwila miał wzejść księżyc, myślała idąc powoli ścieżką porośniętą mchami.

W pobliżu chaty była altana i Ellen prawie podświadomie skierowała ku niej kroki. Chciała pomyśleć w spokoju o Kurcie, zaś altana dawała jej po temu znakomitą okazję.

Było cicho i spokojnie. Od strony ogro-

du napływał słodkawy zapach egzotycznych kwiatów. Z miejsca, na którym siedziała, widziała chatę ogrodnika. Nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich Mary Gilly. Miała na sobie pelerynę zarzuconą na lekką sukienkę i wpatrywała się w las, jakby na kogoś czekając.

Ellen aż podskoczyła. Musiała jak najprędzej podejść do niej, nim pojawi się osoba, na którą czeka, ale było już za późno. Mary szybko zeszła po schodach najwidoczniej zauważywszy wcześniej sylwetkę, która umknęła oczom Ellen.

Ellen skuliła się na ławce nie spuszczać wzroku ze ścieżki. Po chwili zauważyła mężczyznę, który powoli zmierzał w kierunku dziewczyny, jakby zastanawiając się, czy powinien się z nią spotkać. Ellen zobaczyła, jak dziewczyna ociera oczy, jakby chcąc osuszyć łzy i wtedy poznała mężczyznę.

Był to Clyde. Podszedł blisko do Mary

trzymając ręce w kieszeniach. Mary z czymś, co brzmiało jak jęk z tej odległości, objęła go ciasno za szyję, zaś Clyde, który do tej pory w ogóle jej nie dotykał, odepchnął ją brutalnie, aż się zatoczyła i uknęła na mchu trzymając go za kolana. Ellen zerwała się znowu, lecz po zastanowieniu wróciła na miejsce. Nie powinna zdradzać się ze swą obecnością.

Clyde chwycił Mary za ręce i postawił na nogi.

– Po jaką cholere chciałaś się ze mną widzieć? – krzyknął. – Masz zamiar mi zrobić następną scenę?

Mary nie odzywała się spoglądając nań błagalnym wzrokiem.

– Nie jesteś pierwszą dziewczyną, która będzie miała dziecko. Poza tym wcale nie musisz. To jest moje ostatnie słowo – weź to – wepchnął jej coś do ręki – i tę kartkę – wyciągnął kawałek białej tektury. – Jest tu nazwisko lekarza, o którym ci mówiłem. I

przestań się mazać, ostrzegam cię, bo mnie wyprowadzisz z równowagi.

Zaskoczona Ellen nie wiedziała, co robić. Rozglądała się za możliwą drogą ucieczki, ale żadnej nie widziała. Z pewnością by ją usłyszeli, gdyby spróbowała przedostać się do domu, co upokorzyłoby Mary jeszcze bardziej. Siedziała bez ruchu i patrzyła, jak pieniądze, które Clyde wcisnął Mary do ręki, upadają na ziemię. Odwrócił się i odszedł wolnym krokiem.

– Zabiję się! – krzyknęła Mary Gilly. – Clyde, ja się zabiję! Naprawdę!

Przystojna twarz odwróciła się i powiedziała:

– W tych stronach jest dużo wody. Rozwiązanie dobre jak każde inne.

Mary została tam, gdzie ją zostawił, patrząc w ślad za odchodzącym. Clyde odwrócił się jeszcze raz.

– Z tym samobójstwem to żart. Wy wszystkie próbujecie tej sztuczki, ale ja się

nie dam nabrać. Nie wygłupiaj się i idź do lekarza – po tych słowach zniknął wśród drzew.

Mary Gilly wolnym krokiem wracała do chaty, jakby każdy krok naprzód miał jej przynieść coś złego. Ellen siedziała bez ruchu przerażona tym, co przed chwilą rozegrało się przed jej oczyma. Jak mogłaby pomóc Mary? Powinna z nią porozmawiać, przekonać, żeby nie robiła nic pochopnie, zanim Ellen nie wymyśli jakiegoś rozwiązania. Przechodząc koło miejsca, gdzie Mary rozmawiała z Clyde'em, zauważyła, że lekka bryza porozrzuciła banknoty po trawie.

W chacie było ciemno, więc zawołała:

– Mary! Mary, jesteś tam?

Przez pewien czas nikt nie odpowiadał, lecz Ellen wiedziała, że dziewczyna jest w środku i nie ustawała. Wreszcie Mary otworzyła drzwi.

– Ach, to ty – powiedziała niezbyt przy-

jaznym głosem.

– Mogę wejść? – zapytała Ellen.

Bez słowa Mary odsunęła się i otworzyła szerzej drzwi.

– Spotkałaś kogoś po drodze? – zapytała podejrzliwie.

– Nie – odpowiedziała Ellen zgodnie z prawdą. Nikogo przecież nie spotkała.

– Posłuchaj, czy twoje sukienki nie mogą poczekać do jutra rana? – niechętnie powiedziała dziewczyna.

– Chciałam się przejść – wyjaśniła Ellen. – Pomyślałam sobie tylko, że zostawię je tobie. Nie spieszy mi się.

Mary zrobiła krok do tyłu i wtedy światło padło jej na twarz.

– Mary, ty płaczesz? Mogłabym ci w czymś pomóc?

– Dlaczego mnie nie zapytasz, czy płaczę za Clyde'em? – Dziewczyna podeszła krok do przodu. Wszyscy z dużego domu tylko wsadzają nos w nieswoje sprawy.



Może chcesz go dla siebie?

Minęła Ellen i znikła w ciemności nocy. Ellen zamknęła za nią drzwi i poszła do domu zastanawiając się nad wydarzeniami, które zaszły tego wieczora. Mary była tak rozżalona i zdenerwowana, że nie wiedziała, co mówi ani co robi. Ale jak ona powinna się zachować? Powiedzieć Olivette? Tego nie chciała, ale jeżeli dziewczyna naprawdę zamierza popełnić samobójstwo, trzeba jej w tym jakoś przeszkodzić.

Spotkała Olivette, gdy ta wychodziła z pokoju Paula Jeana i została zaraz zaproszona na kolację. Wypiły razem po filiżance czekolady, wtedy Ellen zebrała się na odwagę i powiedziała:

– Widziałam przed chwilą Mary Gilly, była bardzo zdenerwowana. Mówiła coś o samobójstwie.

– Chyba pokłóciła się z jakimś chłopcem we wsi. Dziewczyny takie jak ona często dramatyzują.

Ellen nie wypadło powiedzieć: – Nie jakiś chłopak w wiosce, ale pani siostrzeniec, Clyde. Jest z nim w ciąży.

– Ciociu Olivette – zapytała – czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym wyjechała na jakiś czas? Odwiedziłabym moją ciotkę Margaret w Westchester.

– Rozumiem, tęsknisz za swoją własną rodziną. Obiecuj mi, że wrócisz do nas, jak wypoczniesz.

– Oczywiście, bardzo bym chciała – Ellen uśmiechnęła się wychodząc z pokoju, lecz gdy była już na zewnątrz przycisnęła dłonie do oczu, które piekły od niewypłakanych łez. Poszła prosto do swojego pokoju i usiadła przy biurku chcąc napisać list. Nie wiedziała, jak zacząć, nie wiedziała też, dlaczego coś siłą wyrzuca ją z Hollister House. Czy złamie słowo dane Kurto wi, że pozostanie tam do chwili jego powrotu? Niezupełnie, powiedziała mu przecież że chciałaby zostać.

Przygnębiła ją także scena między Mary Gilly i Clyde'em. Czy ona i Kurt mają większe prawo do miłości niż tych dwoje?

Zaczęła pisać. Pióro nie chciało się poddawać ruchom jej ręki i co jakiś czas dziurawiło papier, potem nie wiadomo skąd zrobił się kleks. Wzięła czystą kartkę:

*Nie chcę, żeby zabrzmiało to jak list miłosny, najukochańszy. Spróbuj mnie zrozumieć, muszę się odnaleźć w tym wszystkim. Wyjeżdżam stąd na krótko, żebym mogła podjąć decyzję, która nas obojga dotyczy. Nagle wydało mi się, że mogę cię skrzywdzić swoją miłością. Daj mi trochę czasu.*

Gdy się pakowała, miała przed oczyma widok Mary i Clyde'a. Biedna Mary, musiała żyć jak we śnie, wyobrażając sobie, że mężczyzna taki jak Clyde może ją kochać – przystojny, wcielenie doskonałości. Ellen poczuła, że robi się jej słabo, kiedy

przypomniła sobie słowa Mary o samobójstwie, ale przecież kiedy powiedziała o tym Olivette, ta nie wydawała się zmartwiona. Olivette nie wiedziała wszystkiego, z drugiej jednak strony Ellen nie mogła jej o tym powiedzieć.

## Rozdział 13

Następnego dnia rano Ellen zeszła na dół niosąc ze sobą torbę podróżną. Olivette czekała na nią, by się pożegnać. Nim zamówiona taksówka zdążyła przyjechać, wypity po filiżance kawy i przyglądnęły się raz jeszcze kwiatom Olivette. W chwili gdy podziwiały obsypany aromatycznymi kwiatami krzak róży, na motocyklu podjechał pod dom spocony mężczyzna.

– Przepraszam panią – czy pani Hollister?

– Tak, to ja – odpowiedziała Olivette.

– Mam złą wiadomość, bardzo złą. O kilka mil poniżej znaleziono na plaży ciało dziewczyny. Wiemy, kto to jest... znaczy kto to był... jedna z naszych...

– Na miłość boską, człowieku, mów, co się stało. Co to za dziewczyna?

– Mary Gilly, proszę pani. Przynieśli-

śmy ją do chaty, gdzie mieszkała z dziadkiem.

– O Boże, bardzo mi przykro.

Palce ciotki Olivette zbieleły od uścisku na lasce. Ellen nie mogła spojrzeć jej w oczy, nie mogła o tym powiedzieć, że Clyde zabił Mary.

Podjechała zamówiona taksówka.

– Zostanę i pomogę pani.

– Nie, Ellen, jest jeszcze Clyde. On zajmie się wszystkim. Musisz jechać.

Ellen chciała pocałować ją w rękę, lecz Olivette nie przyjęła pocałunku.

– Poza tym, Ellen, będzie tu wielu dziennikarzy i jak zwykle w takich przypadkach wiele nieprzyjemności. Poradzę sobie z reporterami, jestem do nich przyzwyczajona, ale nie chcę ciebie na to narażać. Jedź do ciotki, jak sobie zaplanowałaś. Kurt by tak chciał.

Dziewczyna zdała sobie nagle sprawę, że Olivette wie o tym, co łączy ją i Kurta.

Delikatnie popchnięta przez nią wsiadła do taksówki i opadła na tylne siedzenie. Potem pociągiem dojechała do Nowego Jorku, gdzie przesiadła się na następny, do Westchester – prawie bez świadomego wysiłku.

Biedna Mary Gilly, jak bardzo musiała cierpieć, kiedy wreszcie do niej dotarło, że Clyde jej nie kocha, że nigdy jej nie kochał, a najzwyczajniej w świecie nią gardził. To przywiodło ją do desperackiego kroku.

W pociągu było gorąco. Ellen wyjrzała przez okno i ujrzała gromadzące się od zachodu ciężkie, burzowe chmury. Zamknęła oczy i znów powróciła do niej myśl o Kurcie. Odjeżdżam, bo bardzo cię Kocham. Nie chciałam, ale nie możemy dopuścić, by nasza miłość zmieniła się w coś, co oboje znienawidzimy. Tylko proszę, proszę cię, znajdź mnie i przywieź z powrotem.

– Co ja mam teraz robić? Co robić? – powtarzała w kółko.

– Słucham? – odezwał się siedzący obok niej mężczyzna. Myślał, że mówi do niego.

Odwróciła głowę do okna. Nie mogła przestać myśleć o Mary. Czy w swojej ostatniej godzinie weszła do wody w jednej z cichych zatok, którymi usiane jest wybrzeże? Woda jest tam spokojna. Czy szła krok po kroku, powoli... Woda sięgała jej kolan, potem dalej i dalej. Był jeszcze czas, ale żaden głos nie zawołał do niej. Było cicho, noc przesłaniała wszystko.

Ellen przycisnęła dłonie do głowy. Jak tak dalej pójdzie, sama zwariuję od tego. Tylko spokój, za dwa tygodnie wszystko się jakoś ułoży.

Po wyjściu z pociągu Ellen przypomniała sobie, że ciotka lubiła od czasu do czasu poczytać jakąś nowojorską gazetę. Może miała prenumeratę, ale na wszelki wypadek Ellen kupiła świeżą. Nie zastanawiając



się specjalnie, co robi, zaczęła machinalnie czytać jeden z nagłówków:

*Z niewiadomego powodu w posiadłości Hollisterów na Long Island popełniła samobójstwo młoda dziewczyna. Ciało jej znaleziono w wodzie. Ostatnią osobą, która widziała ją żywą jest najprawdopodobniej panna Ellen Marshall, piękna sekretarka Paula Jeana Hollistera. W tej chwili miejsce pobytu panny Marshall nie jest znane.*

Ellen pobladła. Żebym tylko mogła jak najszybciej dotrzeć do ciotki Margaret!

– Proszę, niech pan jedzie szybciej!

Przez okno zauważyła skrawek czerwonego, zbudowanego z cegły domu, w którym spędziła tak wiele czasu jako mała dziewczynka. Ciotka Margaret przez całe dzieciństwo była dla niej niezawodnym oparciem, z pewnością nie zawiedzie jej i

teraz. Ale od czego miała zacząć opowiadanie o tym wszystkim, co wydarzyło się przez ostatnich kilka miesięcy. W co też się wpakowała, nawet Mabilli nie udałoby się bardziej skomplikować sytuacji.

Kiedy samochód znalazł się na podjeździe, zastanawiała się, czy ciotka Margaret nie będzie zaskoczona jej widokiem. Nie musiała zbyt długo czekać na odpowiedź, bowiem daleko na łące dostrzegła postać, która machała dziko rękami w jej kierunku i zaraz puściła się pędem w jej kierunku.

– Elly – nie dała jej dojść do słowa. – Elly, dziecko moje, dzwoń szybko na Long Island do jakiejś pani Hollister. Mam zapisany jej numer. Dzwoniła tu już parę razy, aż się druty rozgrzały i pytała ciągle o ciebie. Stąd się dowiedziałam, że przyjeżdżasz. Dlaczego sama mi o tym nie powiedziałaś?

– Ciociu, chodź ze mną, a ja zadzwonię. To Olivette Hollister, siostra człowieka,

dla którego pracuję. Zostań ze mną – prosiła Ellen.

Kilka chwil potem czysty głos Olivette rozległ się w słuchawce.

– Ellen, to ty?

– Tak, to ja. Czy coś się stało?

– Nie, nic, kochanie. Tylko jeden z reporterów dobrał się do dziadka Mary, zanim udało mi się temu zapobiec, a on powiedział mu, że w noc przed śmiercią odwiedziłaś Mary. Dostało się to do gazet, więc obawiałam się, że mogło cię to przestraszyć.

– Widziałam nagłówki – powiedziała Ellen.

– Wszystko wyjaśniłam policji. Powiedziałam im, że byłaś ze mną od ósmej trzydzieści i że poszłaś do niej tylko oddać jej coś do przeszycia.

– To prawda.

– Sekcja wykazała, że była w wodzie zaledwie dwie godziny, nim ją znaleziono.

Czyli zginęła wiele godzin po tym, jak widziałaś ją ostatni raz.

Olivette przerwała dla nabrania oddechu. Jak bezdusznie brzmiała oficjalna wersja zdarzeń, niemniej jednak była prawdziwa. Po chwili Olivette zapytała:

– Ellen, jesteś tam?

– Tak, jestem. Bardzo się cieszę, że mi o tym powiedziałaś, ciociu.

– O nic się nie martw. Zostań w spokoju z ciotką i spróbuj zapomnieć o tym, co się stało. Nikt nie mógłby temu zapobiec.

– Bardzo dziękuję za wszystko.

– To nic takiego. Nie zrobiłam nic, nie straciłam po prostu głowy. Ale coś takiego niestety przychodzi dopiero z latami – Ellen zdawało się, że usłyszała ciche westchnienie. – Napisz do mnie, jak będziesz miała trochę czasu. Do widzenia.

Kiedy Ellen odwróciła się do ciotki Margaret zauważyła, że czyta artykuł o samobójstwie. Nie mogła go przeoczyć, był

przecież na pierwszej stronie, ale natychmiast zerwała się i powiedziała:

– Czas na lunch. Siądziesz sobie tu i opowiesz mi o wszystkim – rzuciła spojrzenie na gazetę.

Ellen posłusznie usiadła, zaczęła jeść i opowiadać historię samobójstwa Mary, nie wspomniała tylko o Clyde'dzie odkładając to sobie na później.

– Czy wymówiłaś pracę u pana Hollistera? – zapytała ciotka.

– Nie, nadal dla niego pracuję. Ale teraz nie może się zająć książką, więc przyjechałam tu, do ciebie, żeby cię odwiedzić i zasięgnąć rady.

– Co tylko zechcesz, Elly, i kiedy zechcesz. Jeżeli chcesz pracować, bardzo proszę. Tylko pamiętaj, ten dom zawsze stoi dla ciebie otworem, a kiedyś będziesz tu panią. Opowiedz mi teraz o tym panu Hollisterze.

Ellen pokrótce zaznajomiła ciotkę z tym,

co się stało w Kalifornii.

– Wygląda na wspaniałego człowieka. Szkoda, że nie spotkałam go dwadzieścia lat temu. Wygląda na to, że by mi się spodobał.

Potem Ellen poprosiła ciotkę, by porozmawiały o jej sprawach. Nie było to wcale trudne, ciotka kipiała entuzjazmem wobec nowego przedsięwzięcia.

– Czułam się samotna, Elly. Pomysł wpadł mi do głowy tak nagle, że z początku nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Codziennie przychodzą tutaj dzieci z sierocińców i bawią się na tych ogromnych, kiedyś bezużytecznych trawnikach. Salę balową, w której nikt nie tańczył od dwudziestu lat, zamieniłam na salę gimnastyczną dla dzieci. Na pierwszym piętrze jest teraz coś w rodzaju żłobka, gdzie młodsze dzieci mogą się wyspać, jak im przyjdzie na to ochota. Kazałam specjalnie zrobić niskie stoły i daję im wszystko co najzdrow-

sze do jedzenia – mleko, owoce, chleb z masłem. Nigdy wcześniej w życiu nie bawiłam się tak dobrze.

– To cudownie – powiedziała Ellen. Zastłuchana w słowa ciotki zapomniała o swych własnych kłopotach. Cieszyła się z przyjazdu, będzie ciężko pracować pomagając ciotce.

– Powiedz ciociu, co mam robić.

– Chyba nie wydawało ci się, że cię to ominie! – wykrzyknęła ciotka. – Liczę na ciebie, bo jutro zjawi się tu cały tłum dzieci.

Ciotka Margaret dotrzymała słowa i znalazła jej zajęcie na resztę dnia, tak, że nie miała czasu zajmować się własnymi zmartwieniami. Potem przypomniała sobie Mabilę i zastanawiała się, co porabia teraz jej macocha.

– Założę się, że nie powiedziała ci ani słowa o tym, że dałam jej małą pensję – mrugnęła porozumiewawczo ciotka.

Zaskoczona Ellen potrząsnęła głową.

– Postawiłam warunek, że nie będzie się tobie naprzykrzać ani próbować na siłę wcisnąć tam, gdzie mieszkasz. Są ludzie, którzy po prostu nie pasują do siebie – poklepała Ellen po ramieniu.

– Kocham cię, ciociu – Ellen pocałowała ją w miękki, ciepły policzek. Jesteś wspaniała.

– I przewidująca. Wiem tyle o ludziach, że czasami żałuję, że nie mam czasu napisać książki.

Niedługo później zadzwoniła Olivette.

– Jak się masz? – zaśpiewała przez telefon i nie dając Ellen chwili na odpowiedź, ciągnęła: – Nie muszę się nawet pytać, bo czuję, że wszystko w porządku.

– Nic się nie ukryje – roześmiała się Ellen.

– Dostałam list od Kurta. Pisze w nim, by przekazać ci najgorętsze uściski.

Ellen myślała szybko. Kurt chce, żeby



ciotka Olivette dowiedziała się o nas. Ze ściśniętym gardłem powiedziała:

– Dziękuję, ciociu Olivette.

– Poza tym Clyde wyniósł się od nas. Jedzie do Ameryki Południowej. Wyruszył w dniu pogrzebu Mary Gilly. Powiedział, że przez jakiś czas będzie w Nowym Jorku i stamtąd poleci dalej.

Kilka dni później znów zadzwoniła.

– Tęsknię za tobą, Ellen. Chciałabym mieć z kim porozmawiać. Byłam dzisiaj w pokoju Kurta i zobaczyłam list na jego biurku. Kiedy zadzwonił z Chicago, powiedziałam mu o nim i zapytałam, czy chce, żeby mu go przesłać. Powiedział, że nie.

Zawahała się przez chwilę.

– To dziwne, że napisała. Prawie się do siebie ostatnio nie odzywali, a tu nagle list. Beatrice nie widziałam, odkąd obie spotkałyśmy ją na korytarzu koło pokojów Paula Jeana.

– Jak on się czuje? – zapytała Ellen w chwili przerwy.

– Słysząc go w całym domu, domaga się, żebyś do niego przyszła. Za jakieś dwa tygodnie będzie mógł wsiąść na wózek inwalidzki. Prosił mnie, żebym ci przekazała wiadomość, żebyś wracała jak najprędzej. Czy to nie w jego stylu?

– Cieszę się, tak bardzo się cieszę. Oczywiście, że wrócę i pomogę dokończyć książkę. Proszę mu to powiedzieć i dać mi znać, kiedy będzie już na tyle silny, by kontynuować pracę.

## Rozdział 14

Ellen rzuciła się z radością w wir pracy. Ciotka Margaret zadbała, żeby Ellen miała co robić, więc po całym dniu dziewczyna była tak zmęczona, że nie starczało jej czasu na zmartwienia i uspokoiła się trochę.

Przyjazd autobusów był zawsze wydarzeniem. Mimo iż były dwie osoby do pomocy – mężczyzna do chłopców i kobieta do dziewcząt, ciotka mówiła, że i dla dziesięciu par rąk byłoby dość pracy.

Amerykańska flaga łopotała nad kortem tenisowym, nieopodal którego ustawiono kilka huśtawek, zawsze pełnych rozbawionych, krzyczących dzieci. Ellen wydawało się niemożliwe, żeby w tak krótkim czasie mogło się tyle zdarzyć. Biegała od grupy do grupy, jak ciotka Margaret, dodając otuchy i pocieszając ofiary co bardziej niebezpiecznych zabaw.

Pewnego dnia bawiły się w jakąś grę wymyśloną przez ciotkę Margaret. Ellen stała w środku koła trzymających się za ręce dzieci. Śpiewały jakąś piosenkę i co linijkę skakały albo w prawo, albo w lewo, na końcu zatrzymując się gwałtownie.

Ellen podniosła głowę i spojrzała na podjazd. Błyszczący kabriolet właśnie skręcał pod dom i sunął dalej, aż zatrzymał się obok niej. Otworzyły się drzwi, wysiadł Kurt i natychmiast ruszył biegiem w jej stronę. Ellen chciała pobiec mu na spotkanie, lecz nie mogła się ruszyć. Kurt zbliżył się, wziął w ramiona i szeptał jej do ucha:

– Wyjechałaś...

Dzieci otworzyły koło, by przepuścić Kurta, ale zaraz potem zamknęły je i spoglądały z zainteresowaniem.

– Musiałam – Ellen podniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

– Psst – powiedział znizowanym głosem, a

jego usta na długą chwilę spotkały się z jej wargami. Potem dodał: – Chodźmy stąd, zbyt dużo tu ciekawskich.

Objąwszy ją ramieniem poprowadził po równo przystrzyżonym trawniku do domu ciotki Margaret.

– Moja najukochańsza – zaczął jak tylko znaleźli się w środku, lecz przerwał, nie wiedząc jakich słów dobrać. – Przytul mnie.

Ellen wtuliła głowę w jego ramiona.

– Wyjechali razem, Clyde i Beatrice – powiedział wreszcie.

Przez chwilę Ellen nic nie czuła, potem podniosła głowę i znów przytuliła się do niego. W milczeniu zaprowadził ją do okna, skąd było widać pełen róż ogródek ciotki Margaret. Lekki wiatr strącał płatki róż z rozkwitłych kwiatów.

– Kurt, uwielbiam cię. Nie wstydę się tego powiedzieć – uniosła się na palcach i pocałowała w wychudzony policzek.

Nie zdawała sobie sprawy, że policzki ma całe we łzach, zanim Kurt nie zaczął ich delikatnie ocierać palcami.

– Kocham cię, Ellen, całą duszą – pochylił się i pocałował ją długo w usta.

– Ty i ja na zawsze – wyszeptał. – To, co zaszło wcześniej, to czas stracony. Najdroższa, będę mieszkał w swoim klubie do chwili gdy... będę wolny. Pojedziesz do domu i zaczekasz na mnie?

– Zaczekam, ukochany. W domu, z ciotką Olivette.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń. Kiedy podszedł bliżej, Ellen wydało się, że przekroczył próg, za którym była ciemność, która zniknęła, by nigdy więcej nie powrócić.